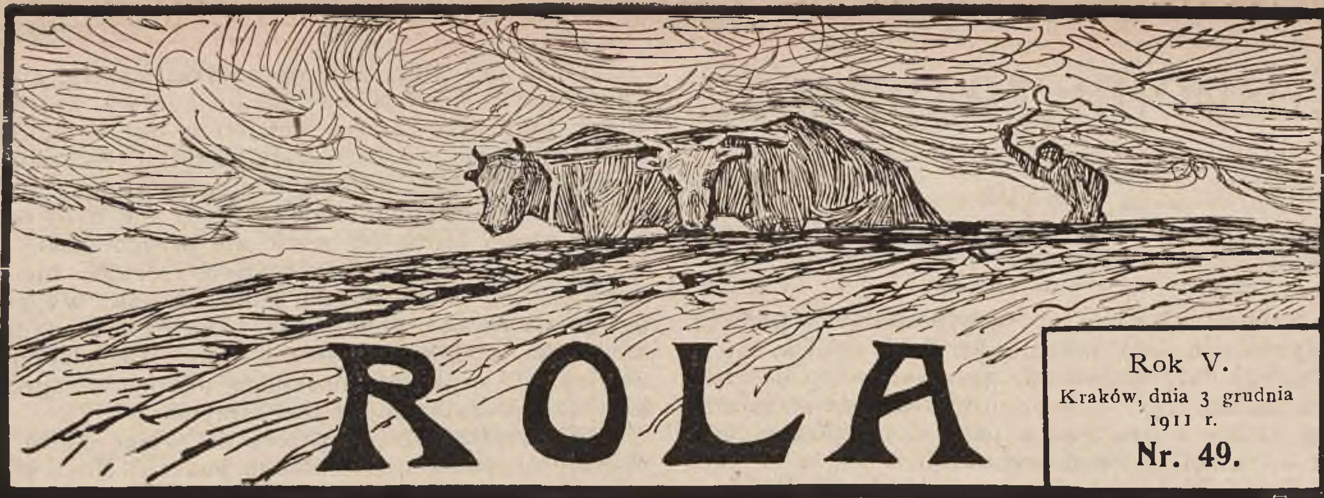


Rok V.
Kraków, dnia 3 grudnia 1911 r.
Nr. 49.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

ADWENT.



Słowo »adwent« pochodzi z łacińskiego *adventus* a znaczy przyjście, czyli Narodzenie Chrystusa Pana. Adwent nazywany był niegdyś w Polsce czterdziestnicą, ponieważ pierwotnie trwał przez dni czterdzieści, taksamo jak wielki post. W dawniejszych czasach adwent zaczynał się zaraz na drugi dzień po świętym Marcinie. Stąd powstał zwyczaj, że w dniu św. Marcina ucztują w niektórych okolicach, zajadając pieczone gęsi, gdyż dawniej również w dniu tym ucztowano, jak w dzień ostatni przed zbliżającym się czterdziestodniowym postem. Do uczt zaś używano gęsi z tego powodu, gdyż z początkiem zimy z kości gęsich czyniono wróżby, jaka będzie zima.

Z rozpoczynającym się rokiem czyniono dawniej w Polsce i do dziś dnia tu i ówdzie czynią wróżby zamążpójścia. Ponieważ zaś z pierwszą niedzielą adwentu rozpoczyna się nowy rok kościelny, więc wróżby te czynią we wigilię świętego Andrzeja (30 grudnia).

W Krakowie podczas adwentu kapela na instrumentach dętych grywała hejnały z wieży maryackiej na pamiątkę słów Pisma świętego: »Śpiewaj trąbą Syonie«, czyli zapowiedzianego wezwania Archanioła na Sąd ostateczny, gdy Chrystus przyjdzie powtórnie.

Na Mazowszu i Podlasiu przez cały adwent rano i wieczorem grają na ligawkach, t. j. wielkich drewnianych trąbach. Tony ligawek proste, melodyjne rozchodzą się w cichy a mroźny wieczór daleko.

Lud polski, podczas adwentu, jak na Wielkanoc, idzie do spowiedzi, wesoła muzyka i śpiewki milkną wszędzie, bo, jak mówi stare przysłowie o patronach rozpoczynających adwent:

»Święta Katarzyna klucze pogubiła,
Święty Jędrzej znalazł, zamknął skrzypki zaraz«.

W adwencie milkną więc uciechy i zabawy, bo czas ten jest czasem pragnienia i wyczekiwania przyjścia Pańskiego. Im więcej ten dzień przyjścia się zbliża, tem serdeczniejsze i radośniejsze jest pragnienie Kościoła św., z którem oczekuje przyjścia swego Boskiego Oblubieńca. Kościół św. oczekuje przyjścia Pana Jezusa taksamo, jak oczekiwano rzeczywistego Narodzenia Pana Jezusa w dawnych czasach.

Nim Pan Jezus zaczął nauczać, św. Jan Chrzciciel opowiadał żydom o bliskiem przyjściu Zbawiciela. Oczekiwanie było tak powszechne, że tłumy garnęły się do św. Jana, aby z ust jego usłyszeć wielką zapowiedź, a napływ ten był tak wielki, że coraz więcej utwierdzało się zdanie, iż on jest oczekiwanym Mesyaszem. Ale św. Jan odpowiadał pokornie:

— *Nie jestem Chrystus... ja chrzczę wodą, ale wpośrodku nas stanął, którego wy nie znacie. Ten ci jest, który po mnie przyjdzie, który przede mną stał się, któregom ja nie godzien rozwiązać rzemyka u trzewików jego.*

Tak jak św. Jan przed przyjściem Zbawiciela szedł w lud, aby go pouczać o przyjściu Tego, który miał świat cały dźwignąć z niewoli grzechowej, tak samo w czasie adwentowym idzie Kościół św. do wiernych i odzywa się do nich przez usta kapłanów, aby się gotowali na przyjście Zbawiciela. Świątynie Pańskie w czasie tym pozbawia się wszelkich ozdób, a kapłani w czasie Mszy św. ubierają ornaty fioletowe na znak pokuty.

A i wioski nasze w tym czasie stają się smutne i ponure. Przez całe cztery tygodnie nie usłyszysz nigdzie wesołej piosenki ani dźwięku skrzypek. Karczmy świecą pustkami, bo tylko ten i ów nałogowy pijaczyna do nich zagląda, inni zaś, choć tam w innym zwykłym czasie kieliszkiem nie gardzili, na święty czas adwentu zaprzestali picia a więcej czasu poświęcają rozmyślaniom o duszy swojej i życiu pozagrobowem.

A z ludźmi cała przyroda sposępniała i zdaje się czekać tej chwili, gdy z murów świątyni zabrzmi pieśń wesoła a tak miła każdemu sercu katolickiemu: »Bóg się rodzi moc truchleje!«

Rozbójnicze gniazdo.

XVIII.

Ucieczka. — Pościg. — Ujęcie Janasza. — Niewola. — Towarzysz niedoli. — Uwolnienie Janasza. — W podróży. — U króla. — Skwarko Korczak.

Ruszali już z miejsca, gdy poza nimi w podwórcu słyszeć się dało wołanie, krzyk i wrzask, który się rozległ natychmiast po całym budynku. Miecznik konia ścisnął. Janasz, postanowiwszy jechać za nim, dobył szablę, którą miał u pasa, konia płazem ściągnął — zaczęli uciekać szybko.

Noc była przerażająco czarna, ale Zboiński pokierował konia w stronę, gdzie droga była najgładsza i najprościej wiodła do celu. Janasz jechał tuż za nim. Z tyłu dochodziły ich krzyki i hasła. Oczywistem było, iż Turcy ucieczkę spostrzegli i że pogoń puścić się miała za nimi.

Biegli więc wśród ciemności, oddalając się coraz dalej od zameczku, gdy Janasz tentent posłyszał za sobą. Zbliżał się widocznie.

— Panie! — zawołał — gonią nas, uchodź, ja ich zatrzymam, jeśli dognają.

Nie posłyszał już odpowiedzi miecznika, i koń jego poparł żywiej naprzód. Wtem pogoń słyszeć się dała tak blisko, iż ujść od niej było już niepodobieństwem. Sapanie koni czuł poza sobą i przekleństwa ścigających Turków. Koń Janasza zaczął zwalniać, kilka razy szabla świsnęła w ciemnościach napróżno, raz ścięły się z sobą żelezce

Janasz uczuł w ramieniu ból, z dwóch stron oskakiwali go Turcy; koń padł i on z nim na ziemię. Nie myślał wcale o sobie, patrzył, co się mogło stać z miecznikiem, ale wśród zamieszania, jakie powstało między pogonią, która go chwytała, zdało się, że miał czas ujść niepostrzeżony.

Pochwyciwszy go Turcy i natychmiast, związawszy ręce, nie zważając na ranę, okładając razami, zaciągnęli napowrót do domu agi. Tu wszystko było na nogach, gotowe na przyjęcie nieszczęśliwego. — Miecznik tak długo siedział w niewoli spokojny, iż Janaszowi przypisywano zachęcenie do ucieczki i jej ułatwienie. Znęcano się więc nad nim, jako nad winowajcą.

Chciano go zrazu ściąć bez dalszego rozpatrywania sprawy, przyszła potem rozwaga, i okutego w kajdany zamknięto do osobnego, wilgotnego lochu, do którego woda ściekała, i w którym kamienia nawet nie było, aby na nim usiąść sucho.

Janasz nie rozumiał języka; na wszystkie krzyki i łajania nie odpowiadał nic, stał, cierpliwie znosząc razy i wrzaski. Dano zaraz znać do zamku, gdzie Węgier nocował, ażeby i tego, jako współwinowajcę, uwięzić.

Z tym jednak nie poszło łatwo, gdyż zemstę im przypomniał, jaką król zapowiedział, jeśliby któremu z nich włos spadł z głowy.

Po rozmowie z baszą stanęło na tem, że Korczaka basza zatrzymać postanowił i za nic go wydać nie chciał, a Węgra rad nierad puścił, domagając się przez niego wydania uwięzionych w Zeczynie, za których Janasz miał gardłem odpowiadać. Gdy ich potem obu razem wyprowadzono, zbliżył się do Węgra Korczak i prosił go tylko, aby królowi o losie jego oznajmił. Zdawało się, że miecznik, nocą uchodząc, przedrzeć się musiał do obozu niemieckiego lub polskiego, gdyż o pochwyceniu go wiadomości żadnej nie było. To pocieszało Janasza, który już wcale ani rany, ani ciężkiej niewoli nie żałował.

W istocie była ona nad wyraz wszelki ciężka i bezlitośna. Wszystkie jednak niewygody, które powinny były przy ostrem powietrzu dobić chorego, dziwnym sposobem hartowały go tylko. Był pewien, że miecznik i król uczynią o niego staranie; ale co się ze starym stało? dowiedzieć się nie było podobna, z obozu żadna też wieść nie przychodziła.

Upłynęło dni kilka, tydzień, i drugi: nie zjawił się nikt. Jednego dnia tylko Słowak, wypędzając go na robotę, powiedział, że agę i zabranych za miecznika ludzi w Zeczynie wydano, ale basza jego uwolnić nie myśli bez osobnego okupu, takiego, jakiby za miecznika mógł był otrzymać.

Zima nadchodząca przerwała wojnę nieco, ale niewolę uczyniła nieznośniejszą jeszcze. Noce szczególniej, bez odzieży, w zimnym lochu, na ziemi wilgotnej, straszne były. Trochę wyżebranej słomy służyło za pościel i okrycie.

W trzy tygodnie po ucieczce miecznika, ojciec agi darował mu znowu jeńca Polaka, którego dla pomocy w robocie około domu, przyprowadzono. — Był to ciężko ranny szlachcic, towarzysz pancernego znaku, niejaki Zbylutowski, Krakowianin, ogromny chłop, ale nędzą, niewczasem i niewolą wychudzony i przywiedziony do ostatka. Gdy się po raz pierwszy ukazał w podwórcu i spojrzeli sobie w oczy, poznali, że byli jednego rodu i narodu. Zbylutowski spytał go: skąd?

— Z Lubelskiego.

— Ja z pod Krakowa.

— Gdzie cię wzięto?

— Samem im w ręce wpadł — rzekł Janasz — alem pana mojego a dobrodzieja miał to szczęście uwolnić.

— Słyszałem o tem — odezwał się Zbylutowski. — Oba pono zamrzemy tu u nich. Mnie wykupić niema komu, wymienić prędzej zapomną niż będą pamiętali, ano, wola boża.

Była to pociecha mieć choć pomówić z kim i wspólnie się ratować. Zbylutowski znosił niewolę też z cierpliwością wielką, chociaż zostawił w kraju żonę, od roku dopiero poślubioną, i dziecię.

Gdy o nich wspomniał, łza mu z oczu sama ciekła niepostrzeżona, ocierał ją i milczał.

Raz, gdy tak zamknięci gwarzyli, Zbylutowski, który wszystkie domy znał i ich rody po całej Rzeczypospolitej, przypomniał sobie, że Korczaków znał w Sandomierskiem; jednego szczególniej, sławnego sknerę i pieniacza, któremu dano przydomek Skwarka dlatego, że chlebem i przyskwarzoną słoniną żył cały okrągły rok, w poście tylko zamiast niej oleju do chleba używając.

O tym Korczaku słyszał coś i Janasz, wiedząc, że było jakieś pokrewieństwo między nimi, ale gdy go rodzice odumarli, a do niego się z sierotą zgłoszono, miał odpowiedzieć, że szpitala u niego niema. Nigdy się więc już potem o niego nie dowiadywał i zapomniał o nim zupełnie.

Około świąt Bożego Narodzenia między Turkami poczęły chodzić wieści, iż sułtan Kara-Mustafę, zięcia swojego, za nieszczęśliwą wyprawę, w której tyle ludzi pogubił i taki srom na chorągiew Proroka sprowadził, śmiercią ukarał, wedle ich obyczaju. Posłał mu pismo i jedwabny sznur, którym go uduszono. Mówiono też o strasznej sile, z wiosną mającej się wylać na kraje chrześcijańskie.

Z obozów i od króla nic jeszcze słychać nie było. Janasz dziwił się tej obojętności, ale wreszcie zdrętwiał, zwątpiwszy już, aby mógł być uwolnionym. Zapowiadano mu, że go do Stambułu odprowadzić mają. Trudno się było okupu tak wielkiego, jakiego aga żądał, spodziewać. Dziwiło go to jednak,

iż dosyć się wkońcu względnie z nim obchodzić zaczęto, i gdy raz zachorzał był. nawet w cieplejszej izbie leżeć mu dozwolono. Wygadał się wkońcu Słowak, że już trzy razy przyjeżdżano, dając na zamianę kilkunastu Turków za niego, lecz aga, im więcej o to naciskano, tem wyżej cenę podnosił.

— Jeszcze się waszmość wydostaniesz jako tako — mówił Zbylutowski — ale co ja, zginąć tu muszę, a że twardo dusza siedzi w ciele, będzie tej męki na długo. Byle człek modlitwy nie zapomniał i w bydlę się nie zmienił.

Tymczasem stało się to, czego się najmniej spodziewano: jednego poranku wyciągnięto Zbylutowskiego z izby i zapowiedziano mu, że go wymienić mają.

Został więc Janasz sam znowu i z podwójną robotą, bo na niego za obu spadła. Minęły znowu tygodnie, miesiące. Zbierało się już ku wiośnie, gdy aga, przybywszy raz z zamku, więźnia do siebie zawołać kazał.

Gdy go do izby wprowadzono i stanął u progu, długo milcząc, czarnemi oczyma wpatrywał się w niego i badał Turek; naostatek pytać go kazał, z zaklęciem na Proroka Chrystusa, (jak się wyrażał), kto on jest w istocie i jakie ma środki wykupu?

— Żadnych a żadnych nie mam — odpowiedział Janasz. — Jestem sierota, ubogi, i oprócz łaski pana, u którego służyłem, niczego więcej nie posiadam.

Turek wołał, że to nie może być, że tyle starań o niego czyniono, iż ze znacznej rodziny być musi.

— Gdyby w istocie tak było, dawnobyście okup otrzymali.

Nie mogąc nic więcej z niego dobyć, odprowadzono go napowrót do izby. Słowak, którego obejście się z jeńcem cokolwiek się zmieniło, powiedział mu na ucho, iż o wymianę i okup przysłano i że za niego syna jakiegoś baszy ofiarowano, a aga jeszcze tysiąc dukatów mieć żądał.

Nazajutrz rano o godzinie, gdy zwykle do roboty pędzono jeńca, nie przyszedł nikt. Później dopiero nieco Słowak drzwi otworzył, i Janasz ujrzał tego samego Węgra, z którym pierwszy raz przybył, uśmiechającego się do niego zdaleka.

— A toć waszmość, chwała Bogu żyw — odezwał się — no, bom sądził, że cię już dawno niema na świecie. Turcy przy wymianach, snać posądzając, żeś coś więcej wart od innych, mienili waszmości umarłym.

Uszom swym nie wierząc prawie, wstał Janasz, ale też mu kajdanki na zamek zakładane zaraz Słowak zdjął i puścił. Do młodego agi nie było po co iść, ale na zamek do ojca jeszcze go zaprowadzono, gdzie obu kawą poczęstowano, a Węgier zaraz od żołnierzy odzież kupił, bo Janasz był straszliwie obdarty i w łachmanach cały. Ledwie się odziawszy, chciał spieszyć Bogu dziękować za swobodę, ale i konia jeszcze dostać było potrzeba, i Węgrzyn miał innych do wydobycia z niewoli. Tak się ich zebrało, Polaków i Niemców, do dziesiątka i w wesołem towarzystwie, Bogu dziękując, pospieszyli do Komorna.

W podróży garstka towarzyszów powoli rozpierzchła się po świecie, tak iż we czterech ledwie dostali się do Krakowa.

Wjechawszy do miasta, które z powodu pobytu króla i królowej pełniuśkie było ludzi, Janasz szukał jak błędny kwatery, gdzieby mógł się oczyścić i odpocząć, gdy z konia zsiadłszy, a wiodąc go za sobą, poczuł nagle, że mu ktoś na szyję rękę zarzucił i całować go począł.

Odwrócił się nagle i postrzegł do niepoznania zmienionego Zbylutowskiego.

— Zajeżdżaj do mojej gospody! — zawołał Zbylutowski — żonka się postara, abyś głodny nie był. Porwał go tedy pod rękę i wiódł jak swojego.

— A chcesz — rzekł po chwili szlachcic — to cię jeszcze ze Skwarką Korczakiem poznam, — wszak ci tu jest! widziałem go. Wyszedł na dziadka kościanego, tak zestarzał, a kaszle, dychawicę ma...

— Bóg tam z nim! anim jego, ani dychawicy nie ciekaw — odezwał się Janasz.

Tak rozmawiając, do gospody się dostali. Nie osobliwa była, ale dla Janasza izba, a dla konia kawał żłobu się znalazł. Nie dając odetchnąć Korczakowi, Zbylutowski go do żony poprowadził, której wiele o nim opowiadał. Kobiecina młoda była i skromna, z synaczkiem na ręku. Tego zaraz mężowi oddała, aby się z jego wąsami bawił, a sama poszła o jedzeniu pomyśleć.

Tak szczęśliwie Janasz, który się tu obawiał zostać bez znajomych i pomocy, znalazł ją w Zbylutowskim chętną i serdeczną.

Nazajutrz począł się Janasz krzątać, żeby na zamek do króla trafić i o mieczniku dostać języka. Wszyscy mu radzili tak iść jak stał, co też Korczak uczynił. Ale na zamek do króla się dostać nie było łatwo, bo cały boży dzień dziedzińce były pełne senatorów, duchowieństwa, cudzoziemców, wojskowych, ciżby wszelkiego rodzaju i języka. Zameldował się więc Janasz, jako powracający z niewoli, i czekał.

Było z nim kilkudziesięciu uwolnionych, więc Sobieski ich razem do ucałowania ręki przypuścił. Pamięć miał prawdziwie hetmańską, bo kogo raz szczególniej w polu i w wojsku widział, rysy sobie natychmiast przypominał a często i nazwisko.

Janasza spostrzegłszy, stanął i myślał długo. Uderzył się w czoło.

— Gdzie ja waszmości widziałem? odezwał się.

— Pod Zeczynem, najjaśniejszy panie, gdym z okupem dla pana miecznika Zboińskiego przybył.

— Już wiem! tak — rzekł Sobieski ale mu się twarz chmurą okryła — i oba z miecznikiem pięknieście się mi spisali, jak dwu wartogłowów. Żeś też waszmość od tego kroku nie powstrzymał starego, co go omal życiem nie przypłacił.

— Jam nie winien, najjaśniejszy panie — odezwał się Janasz — miecznika żadna siła nie pohamuje, gdy nań chwila taka przyjdzie.

— Ja go znam, to prawda — odrzekł król — a i waszeć dobrą odbyłeś pokutę. Turcy cię podawali za umarłego przy wymianach, a potem się na okup zasadzili, ale przecie jakoś się udało.

— Przybyłem do stóp waszej królewskiej mości podziękować.

— Chwała Bogu, chwała Bogu, i Bogu dziękuj nie mnie. Miecznik tam asindzieja bodaj opłakał, bom mu doniósł, że umarłeś. Ucieszy się, gdy cię żywym zobaczy.

Popatrzył król na niego.

— No, wyglądasz, jak wracający z niewoli; wytchnij tu sobie — rzekł — a maszże jaki grosz przy duszy, czy nie?

Janasz zmilczał.

— Pewnie jak święty turecki od Turków wracasz — dodał, śmiejąc się, i odwrócił zaraz do stojącego za nim marszałka dworu. — Dwadzieścia czerwonych złotych każcie mu wyliczyć, a ja się z miecznikiem porachuję.

Janasz się skłonił.

— Odpoczywaćbym tu nie chciał — odezwał się — i prosiłbym, żebym mógł zaraz jechać.

— No, to jedź, a miecznikowi powiedz: niech mi się wysztyftuje, bo aby cokolwiek ciepła, musi ze mną znowu iść. A waszeć? — zapytał Sobieski.

— Gdyby pan miecznik się zgodził, miałbym się za szczęśliwego, gdybyś mi wasza królewska mość pod swoją chorągiew zaciągnąć się pozwolił.

— To ci się nawet należy — odezwał się król. — Jedźno jedź, a gdy się odpasiesz, miejsce ci znajdę.

Król mu dał rękę do pocałowania i na tem się posłuchanie skończyło. Wychodzącemu we drzwiach marszałek oddał dwadzieścia dukatów. Janasz wyszedł z zamku już tylko myśląc, jakby się do Mierzejewic dostać co najprędzej, wprost tedy szedł do Zbylutowskich.

Ledwie się we drzwiach pokazał, z drugiej izby wyjrzawszy towarzysz, zawołał:

— Otóż i on.

A wtem wyjrzała siwa głowa i twarz w zmarszczkach cała przygarbiona, nieznajomego człowieka. Starowina był jakiś nędzny, pokorny, ubogi, w wyszarzanym i zleżałym kontuszu długim, który niegdyś na lepszą tuszę był robiony, bo na nim wisiał jak na kołku. Oczyma małemi, przymrożonemi, namarszczywszy czoło, pilno się wpatrywał w nadchodzącego. Zbylutowski się śmiał.

— Poznajcie się ichmoście, bo to jedna krew, obaście Korczaki.

Dopiero się Janasz domyślił, że to był ów sławny Skwarka, który niegdyś przytułku mu odmówił, zarzekając się, że u niego szpitala niema.

Więc zdala mu się bardzo pokłonił i nie myślał narzucać.

Skwarka zaś, obie ręce rozstawiwszy, przyszedł do niego, niezmiernie czule ściskał, szepleniącym i cieniuśkim odzywając się głosem.

— Kochaneczek! Korczak! mój Boże, nasza krew! z niewoli! z tureckiej! Niech cię uścisnę, mój gołąbku!

Janasz dał się uścisnąć, w ramię go pocałował, już poczuł stęchliznę kontusza, ale wnet odstąpił, Korczak stary siadł i jak w tęczę w niego patrzył zmrużonemi oczyma, powtarzajac: Gołąbeczek!

— Pan Korczak — roześmiał się Zbylutowski — bardzo was chciał poznać. Wszakżeście krewni.

— Myślę, że dalecy — odparł Janasz.

— Albo dalecy, albo i nie tak bardzo, gołąbku mój — rzekł stary. — Twój dziad był Fabian a z moim ojcem, Sebastyanem, rodzeni byli, tak, kochanie moje. Nam w rodzinie zawsze się nieszczęściło. Wola boża, kogo kocha Bóg, temu krzyże zsyła, tak! mój gołąbku.... Waszecia ojciec wszystko stracił, mój także; nie miałem nic, wyszedłem w świat w łatanej koszuli.

— Aleś się waszmość zato pięknej fortuny dorobił — rzekł Zbylutowski.

Stary rękami potrząsł.

— Ja? któż to wam mówił? Nędza! długi! bieda! nieurodzaj, proces, pieniacze! ostatni grosz patronowie wyssą z kieszeni. Nędzarz jestem!

Spojrzał na Janasza, który nie mówił nic. Pilno mu było myśleć o podróży, a Zbylutowscy od obiadu puścić nie chcieli. Misa już szła na stół z krupnikiem. Niespodziani goście czynili przyjęcie nieco trudnem, talerze się jakieś znalazły, ale łyżek brakło.

Okazało się, że stary Korczak, obyczajem dawnym, za pazuchą miał łyżkę podróżną, którą wożono niegdyś zawsze, bo szlachcic bez szabli, noża, łyżki i krzesiwa nie stąpił. Dla Janasza pożyczono u gospodarza, i śmiejąc się, do stołu zasiedli, przypominając jak żyli i karmili się u agi.

Słuchała pani Zbylutowska wzdychając, i męża pocałowała za to, że tyle wycierpiał. Korczak wzdychał nad nieszczęściami dwu jeńców, ale jadł łakomie i chciwie, z oczu Janasza nie spuszczając.

Polewka i pieczone mięso cały obiad składały; gąsiorek zieleniaku stał na stole, aby było czem popijać. I tego staruszek kosztował, a jakoś mu po nim oczy się otworzyły, bo zrazu jak kret patrzył, i usta się na uśmiech zbierały.

— Choć to niegrzecznie, ledwie usta otarłszy, łaskawych gospodarzy żegnać — rzekł, wstając, Janasz — ale komu w drogę, temu czas.

To mówiąc, gosposię w rękę pocałował, towarzysza w twarz z obu stron, małego chłopaka w czoło, Korczakowi się nisko skłonił i chciał wychodzić, gdy stary co rychlej czapki i kosturka zaczął szukać i razem z nim pospiesznie się za próg wybrał. Towarzysz to był niezbyt pożądany dla Janasza. Za progiem pochwycił go za rękę.

— Gdzie, kochanie, mieszkasz? — spytał. — Ja słóweczko chciałbym z tobą pogadać.

Stali przy drzwiach izdebki, Korczak szedł.

— Czego to ty, gołąbku, tak się spieszysz? — szepnął, oglądając się. — Ja... ja chciałbym cię poznać i jeszcze lepiej pokochać. Bo i tak kocham, jako swoją krew.

Obejrzał się i głos jeszcze zniżył.

— Ja ubogi jestem, to prawda — mówił dalej — strasznie ubogi... zjadły mnie z kretesem pieniacze, ale coś tam jest! cośby się tam po mojej śmierci znalazło. Ja dzieci nie mam: Stefuś mój w szóstym roku biedaczyna skończył. Zestarzałem, zeszkapiałem, oczy nie służą, dychawica męczy.

Spojrzał na Janasza, który milczał spokojnie, i wziął go za rękę:

— Gdybyś ty mnie chciał służyć i pomagać, a oddać mi się cały, hę? Cośby się tam znalazło? Już nikogo nie mam.

— Ja wszystko winienem miecznikowi — przerwał Janasz.

— A co ci miecznik da? — zawołał Korczak — dudka na kościele? U mnie zawsze coś tamby się znalazło później. Już to z biedy i głodu trzebaby przymrzeć, bo u mnie w domu chudo! ale...

Popatrzył znowu w oczy Janaszowi.

— Hę? gołąbku? co mówisz?

— Dziękuję panu dobrodziejowi za jego łaskawe względy — odparł Janasz. — Bez żadnej nawet nadziei i nagrody gotówbym mu służyć; ale jam do rycerskiego rzemiosła tylko zdatny.

— Piękne rzemiosło — syknął stary — guzy w zysku! Co waszmości po tem? Na starość pod kościołem siedzieć, do czego ci to?

— Pan miecznik mnie wychował jak własne dziecko, słucham go jak ojca, bez niego sobą nie rozporządzam — odezwał się Janasz. — Oto i król jegomość obiecał mi miejsce w swym pułku.

Korczak ramionami ruszył.

— Ale bo ty, gołąbku, nie wiesz nic — rzekł — to się tak mówi, że się nie ma nic. Ja tam wielkich rzeczy nie mam, ale zawsze coś jest. Kawałek ziemi nieszpetny... jakbyś go oczyścił...

Janaszowi pilno było.

— Daruj mi waćpan dobrodziej — rzekł — na prawnikam się nie rodził i nie uczył.

— O! ja ci mówię, nie zarzekaj się, serdeńko moje, nie pluj na wodę, namyśl się. Ja poczekam. Jadę do domu, pisz do mnie na Sandomierz do Macieńczyna. Rozumiesz, gołąbku? Macieńczyna! Już tylko do Sandomierza, a tam mnie znają.

Począł Korczak ściskać mocno Janasza i wyszedł.

Tegoż dnia Korczak najął konie i przed nocą już był w drodze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZA CHLEBEM.



Dokoła cisza rozkołysała się głucha, wieczorne opary unoszą się z wód i moczarów, a wszystko uśpione i ukołysane spoczywa w objęciach nocy.

Księżyca złoty róg wypłynął na czyste niebo ponad wioską pogrążoną w ciszy. Tylko czasem szczekanie psów lub głos pijanego człowieka przerwie na chwilę tę ciszę grobową.

Od wsi błyszczy droga, która w mdławem świetle księżyca widnieje jak wstęga bladawa i gubi się gdzieś daleko w widnokręgu. A na uboczu drogi Chrystus rozpięty na drzewie krzyża, wyciąga ramiona, jakby wszystkie bole i cierpienia ludzkie chciał objąć, jakby chciał przygarnąć do siebie te grzeszne rzesze zbiedzonego ludu. Zwolna ku wsi posuwa się zdala ciemna postać, coraz bliżej, coraz bliżej wyłania się z mroków nocy i zbliża do krzyża.

Co to za postać? Kto tak późną porą wlecze się leniwo ku zagrodom sioła?

To pielgrzym nieszczęśliwy.

Zimową porą wygnała go w świat szeroki bieda nieubłagana, widmo nędzy zmusiło go pożegnać rodzinne progi ubogiej chaty i wygnało w świat między obcych szukać pracy dla chleba. Ze łzami w oczach żegnała go żona — zrozpaczone dzieci chwytały się poły ojcowskiej, aby zatrzymać swego żywiciela w rodzinnej chałupie. On stał złamany, brudną sukmaną otarł spływającą łzę, zrobił znak krzyża na czole, wziął na drogę kawałek czarnego chleba i wybiegł czemprędzej z chaty, aby oddalić to przeklęte widmo nędzy i niedoli. Poszedł z nadzieją w sercu, że za parę miesięcy wróci z groszami w kieszeni i ukoi zbolałą żonę, pocieszy zrozpaczone dzieci.

I poszedł w świat za chlebem, poszedł tam, gdzie setki co roku krwawą pracą wysługują się wrogom naszym. Tak inni radzili, wiele obiecywali, więc poszedł za ślepą radą zaprzągł się do ciężkiej pracy, pot kroplisty obficie zraszał poorane zmarszczkami czoło, a on pracował co siły, bo w domu żona i dzieci. Choć siły tracił powoli i wiądł coraz bardziej, jak kwiat podcięty kosą, on natężał się coraz bardziej bo w domu żona i dzieci. I stargał siły do ostatka, a wtedy wygnano go precz.

Dziś wraca zgnębiony, wycieńczony mozolną pracą i podróżą, bez grosza prawie. Wraca ze zbolałem sercem i złamaną duszą, jak ukoi żonę — jak pocieszy dzieci.

Zbliża się zwolna do krzyża, pada na kolana i zrozpaczonym głosem zanosi modły do Stwórcy. Płakał i jęczał, a jęk rozchodził się złowrogo w nocnej ciszy. Tylko księżyc przybladł, jakby ubolewał nad dolą nieszczęśliwego wygnańca. I zdawało się, że Chrystus z krzyża wyciąga ramiona ku niemu, aby go pocieszyć, utulić...

Na drugi dzień znaleziono trupa pielgrzyma, który nie doszedł do swej strzechy, choć w domu była żona i dzieci.

Józef Jarmuła.

Śpiące wojsko Polski.

Lata jęczała w niewoli. Żelazne obręcze wpiły się w jej ręce i nogi, pierś targana strasznym bólem, dyszała ciężko. Z ócz tylko biła dziwna siła, hart, bo choć łachmany ją pokrywały, mimo to przez nie biła jej dawna duma i wielkość. Chciała się podnieść, ale daremnie, tylko łańcuchy zabrzękły głucho. Na brzęk łańcuchów, przypadł do niej Anioł pocieszyciel, a wpatrując się z boleścią w jej rysy, pyta miękko:

— Czy może pragniesz czego Polsko? Próżne są twe wysiłki, tych kajdan nie zerwiesz.

— Tak! więc napróżno — rzekła Polska. — Ja, com była niegdyś tak wielka, tak potężna, co u mych stóp korzyły się dzisiejsze potęgi, mam więc spokojnie znosić gwałt mi zadany? Gdybym choć czem zawiniła, a więc za cóż ta kara?

— Nie narzekaj Polsko! Może i dla ciebie wybije kiedyś godzina zmartwychwstania i zaświta dzień w którym jaśnieć będziesz w dawnym blasku.

— Och! gdybyś mógł pojąć tę moją boleść, gdy patrzę na ziemię moją rozszarpaną, na rodzone me dziatki, słysząc mowę swą w ukryciu gdzieś wymawianą. Toć to jest bólów ból.

Urwała, tylko łkanie wstrząsało jej piersią. — Uspokoiwszy się trochę, pyta Anioła:

— Czyś ty słyszał kiedy, opiekunie mój drogi, iż gdzieś na ziemi mojej ma się znajdować śpiące wojsko, które ma mię oswobodzić z tych kajdan? Czeka ono podobno tylko hasła, ażeby się ze snu zerwać.

— Słyszałem, Polsko!

— Idźże, odszukaj to wojsko i powiedz mi, czy ono śpi jeszcze i kiedy się przebudzi.

Zstąpił Anioł na polską ziemię, zaglądał do chat i dworów, ale smutne widział rzeczy. Dwory wiejskie brzmiały od śmiechów i zabawy, a tylko tu i ówdzie spotykał Anioł ludzi myślących o swej ojczyźnie, ale, niestety, ludzi tych było zbyt mało, bo dwory poczęły znikać z ziemi polskiej. Poszedł więc dalej, do miast. Ale i tu zastał to samo, zastał ludzi, którzy pogardliwie wyrażali się o Polsce, szydzili z jej nieszczęścia, przeklinali ją. Czasem tylko doleciał do jego uszu jakiś cichy, nieśmiały i zestrachany dźwięk mowy polskiej, jakby tych, co nim mówili, jakiś lęk ogarnął. Zwrócił swe kroki do chat wieśniaczych i co zobaczył? nędza i głód wyglądały z każdej chaty. Ludzie żyli z dnia na dzień, nie frasując się o jutro, lub co się wkoło nich dzieje.

Smutny i zgnębiony stanął Anioł przed Polską.

— Czy znalazłeś me wojsko? Czy śpi jeszcze?

— Śpi, Polsko! — odpowiedział głucho.

Znów upłynęło lat kilkadziesiąt cierpień dotkliwych, kajdany od krwi z ciała Polski rdzą się pokryły, z szat jej strzępy tylko wisiały, a zły duch, potęgując katusze, urągał jej. Zawołała więc drugi raz swego anioła i poleciła mu pójść na ziemię, zobaczyć, co robi śpiące jej wojsko. Po raz drugi zstąpił Anioł na polską ziemię i po raz drugi od dworów i pałaców rozpoczął swą wędrówkę. Były one już jakieś weselsze, milsze dla oka, a czystość i porządek uderzały oczy, praca zastąpiła minione uciechy a myśl o jutrze czytałeś z każdej twarzy. Miasta także inny miały wygląd, nie brak było jeszcze takich, którzy przeklinali Polskę, ale zato język polski coraz śmielej i głośniej mieszał się z gwarem obcego języka. Ucieszony Anioł zwrócił się ku chatom z myślą, że i tam zastanie zmiany, lecz gdy ich zwiedził kilka, sposępniał, Bieda i ciemność panowały w nich nieprzeniknione, gdzieniegdzie tylko zastał jaki taki ład i dobrobyt, ale resztę okrywał gęsty mrok.

Smutny, jak i przedtem, stanął przed obliczem Polski, a na jej pytanie, czy jej wojsko się budzi, bolesnym odparł głosem:

— Nie! śpi jeszcze, Polsko!

I znowu minęły lata. Cierpienia Polski wzmagały się z roku na rok. Szaty jej opadły do resztv, a na nagie jej ciało zwycięzcy plwali, starali się zakryć jej to słońce, które ją ogrzewało, zatruć powietrze, którem oddychała, pewni, iż lada dzień zastaną ją martwą. Lecz ona bohatersko walczyła ze swym losem.

Aż znowu, gdy boleść jej zanadto dokuczyła, gdy wrogi jej, chcąc ją dobić, mówili jej, że wszyscy ją już opuścili, przywołała znów swego Anioła, aby zobaczył na jej ziemi, czy to prawda, co mówią jej wrogi i czy wojsko śpiące nie myśli jeszcze o niej?

Posłuszny jej rozkazom Anioł zleciał na ziemię, a napotkawszy na swej drodze chatę, podszedł do niej. Wszedł niewidzialny do środka i zobaczył wieśniaka, który po całodziennej pracy odpoczywał, a żona, otoczona dziećmi, czytała na głos ustępy z historyi Polski. Poszedł do drugiej, tam zastał zgromadzonych włościan a jeden z nich pouczał właśnie gromadę o obowiązkach względem tej ziemi, którą zamieszkują. W trzeciej znów matka uczyła dzieci czytania i pisania, dalej dziatki klęczały przed obrazem Matki Boskiej, zanosząc gorące prośby o zmiłowanie.

Zwiedził tych chat tysiące i kilka tylko znalazł pogrążonych w mroku, a ze wszystkich innych biła jasność i oświata wyglądała z każdego kąta. Pełen więc radości nie zaglądał już do miast ani dworów, tylko prosto bieży do Polski.

— Wojsko twoje budzić się zaczyna — wołał do niej już zdaleka.

— Czy to prawda? czy nie łudzisz mię tylko? — szeptała.

— Nie, Polsko, prawdę mówię, wojsko twe budzi się i chwila twego wybawienia bliższa, niż sądzisz.

— Aniele mój, mów wszystko: jak ono wygląda, czy ma broń, działa?

— Nie, Polsko, ono ni broni, ni armat nie ma. Słuchaj, gdy dawniej sądziłaś, że jesteś potężną, to potęga twa była pozorną. Twem wojskiem byli tylko rycerze i oni tylko krew za ciebie przelewali, a lud był zapomniany i nie dbał o ciebie. Gdybyś choć trochę zajęła się jego losem, nie upadłabyś tak nisko. Dziś co innego. Lud twój pod wpływem oświaty budzi się do życia. Gdy dawniej milion, dwa, życie za ciebie gotowe były poświęcić, to dziś tych milionów ilość wielka. Każda chata, to rycerz zaklęty, a tych miliony. I gdy wszystkie one zajaśnieją miłością ku tobie, to nie armaty cię wyzwolą, lecz potęga i blask tej miłości. Znoś jeszcze cierpliwie te kajdany do czasu.

A Polska swe dłonie do modlitwy złożyła, śląc gorące dzięki przed tron Najwyższego: »Przed Twe ołtarze zanosim błaganie!« ***Piotr Kędzierski.***

ZADZWONIŁY...

Zadzwoniły dzwony, jakby jeden głos,
Aż się zakołysał nasz pszeniczny kłos.
Zapłakały dzwony jakby jeden chór,
A dźwięk ich popłynął hen w dal aż do chmur.

Jęk to jest żałobny, smutny to jest jęk,
Bo nam przepowiada już początek męk.
Polska rozebrana, zaprzedany kraj,
Na nic jej się nie zdał święty trzeci maj!

Ale jest nadzieja, że w niewiele lat
Zagłądnie oświata do tych polskich chat
I znowu powstanie Polska nasza miła,
Co ją niedołężność mych braci zgubiła.

„Stokrótka".

Dowcipny Wojtek.

Zył ci se bardzo dawno nas Wojtek, bogaty ale straśnie podgłupiasty chłopisko. Roz przedał woły na jarmarku za grube talary i wracał do chałupy. Wiecór juz beł, to się tyz zaby darły, kiej te zydy handlujące: »kwa! kwa!« Jak to nas Wojtek usłysoł, tak się zacon śmiać i pado mówi:

— Juści! sto talarów mom a nie dwa!

Ale kiej zaby swoje wrzescały, tak się zgniwoł i pocon kunirować:

— Głupie bydło! Jak nie wis dobrze, to ozór trzymaj za zembami. Tu patrzajcie!

Wyjon talary z kiesenie i pocon na rękę rachować, coby zaby widziały. Ale jak one poceny dali swoje śpiwać, cisnął im talary.

— Porachujta same, psiewiary i zaroz oddajcie, bo mi się śpiesy.

Ale zaby dali swoje wrzescały i nie oddawały talarów. Tak cekał do późny nocy i zabroł się do chałupy. Baba dała mu po łebie, bo nic nie przyniós.

Za jakiś cas zarznął ciele i pojechał z mięsem przedać do rzeźnika. Przed miastem opadła go gromada psów a między nimi był i wielki pies rzeźnika. Przypoceni na niego okropnie scekać a nogłośni ten od rzeźnika. Hou! hou!



Nas Wojtek myśłoł, ze on się pyto, cy mu juz rzeźnik piniondze doł, tak pado:

— Jesce nie doł, dopiro do, jak mięso dostanie.

Ale psy het swoje scekały, tak się ozgniwoł i wyrzucił mięso z woza i pado mówi:

— Naści psiawiaro i zaniś som rzeźnikowi a dowis się, cy doł. Tylko pamiętoj, cobyś mi piniondze wiecór przyniós!

Zawrócił i pojechoł do chałupy. I znowu dostał po łebie od baby.

Kiej na drugi nawet dzień nie dostoł pinię dzy, zebrał się i posed do rzeźnika.

— Dawaj grose za mięso, co ci pies przyniós!

Rzeźnik zgłupioł i tłómacył się, ze zadnygo mięsa nie widzioł. Ale kie się Wojtek upiroł, chyciuł kija, zerznął Wojtka i wyrzuciół go na śtyry wiatry. Teroz nas Wojtek posed do króla na skargę. Kiej mu wszyćko opedzioł, pocena się królesko córka okropnie śmiać, a wszyćkie ministry śniom. Tak król pado mówi:

— Ześ ty głupi, to prawda, ale ześ mi córkę roześmisuł, co się od urodzynio nie śmiała, to mos pół królestwa i jom se weź za babę.

Ale nas Wojtek pokłonił się i godo:

— Piknie dziękuję, panie królu, ale juz z jednom babom mom dość kłopotu i umartwienia, to drugi juz nie kcem. Kcem ino, cobym dostoł od zabów i rzeźnika piniondze!

Tak się król ozgniwoł, co Wojtek jego córkom pogardziuł, tak go wyrzuciuł i kozoł mu na drugi dzień przyść po zapłatę. Jak Wojtek wychodziuł, spotkał go zołnirz i powiado:

— Tyś teroz bogoc, bo król do ci kupe piniendzy. Moze byś ta i mnie jakim grosem poratowoł?

— Ano to przydź jutro do króla — pado Wojtek — to dostanies dwieście.

Troche dali spotkał zyda Srula. Zyd się niby straśnie ciesuł, ze Wojtek ostoł bogacem i pytoł się, cyby Wojtek juz teroz co od niego nie pozycuł.

— No to dej trzysta talarów, a jutro przydź w połednie do króla, to se odbierzes.

Zyd doł Wojtkowi z połowę przynajmni fałsywych piniendzy i ciesył się, ze zrobiuł dobry interes.

Na drugi dzień posed Wojtek do króla, a tam juz zołnirz i zyd cekali. Jak go król uźroł, tak gado:

— Pódźze prędzy, to ci haw zaraz wypłacom!

Klasnął w ręce i zaroz przysły parobki z ławkom i z kańcugiem. Ale nas Wojtek pado:

— Słuchajcie, panie królu! Mnie się juz nic nie nalezy, bom dwieście darowoł zołnirzowi, a trzysta talarów juz wzionem od zyda, to się to im patrzy.

Tak się król zacon śmiać i pado:

— Kiej się tak mondrze urządziułeś, to juści przyprowadź mi tu tyk kupców!

Zyd i zołnirz prendko przylecieli po zapłatę, a tu ik parobki chycili i zerznęli. Zołnirz to nic nie godoł, bo był przyzwycajony do tego, jako ze dawni przy wojsku dokumentnie skórę rznyli, ale zyd wrzescoł okropnie, a nowięcy z tego, ze tak się osukoł. Wojtkowi zaś król doł tyle talarów, ile zabrać móg ze sobom.

Posed nas Wojtek do karcmy porachować talary, a zyd za nim. Wojtek siod przy oknie za stołem, kozoł se dać piwa i spyrki i tak se pado:

— A to ci psiopara królisko! Wicie, jak mie to kcioł na dudka wystrychnąć! Przecie ale trafiu się zyd bestyja i zołnirz, to wzieni tamte zapłate, a jo talary!

Zyd stoł za oknem i słysoł wszyćko. Co duchu poleciół z jęzorem do króla. Król ozgniwoł się straśnie i kazoł mu Wojtka przyprowadzić, a zyd prędziuśko poleciół, bo się juz naprzód ciesuł, ze Wojtek w skórę oberwie, a moze mu i talary odbierom. Przyleciół i woło, zeby Wojtek co duchu leciół do króla. Ale nas Wojtek teroz zmondrzoł i godo, co se musi ubranie porzonne kupić i copkę a fajkę, bo tak jak teroz do króla nie pódzie. Ale zydowi się śpiesyło, coby Wojtek jak noprędzy w skórę dostoł, tak doł mu nowego surguta i zaprowadziuł do króla. Jak król go uźroł, to jaze berłem wyrznoł o ziemię i wrzescy:

— To ty, zatracony włócykiju jeden, bedzies na króla wymyśloł i to jasce jak? Cekoj, dom ja ci tu psiąparę, jaze som parę będzies puscoł!

Ale się nas Wojtek piknie skłoniuł do samy ziemie i godo:

— Słuchajcie, panie królu! Wszyćko zyd pocyganiuł. Onby wom tu powiedzioł moze, ze jego surgut mom na sobie!

A zyd jak nie skocy!

— Aj waj! Co jest Wojciechu! Psiecie to jest mój kabota, com ino z wielgi psijaźń pozicuł, cobyście pozionnie do pana króla psichodzili!

Jak to król posłysoł, tak se zaroz pomyśloł, ze to przecie zaden przyjaciel, co chce, zeby Wojtek w skórę dostoł i ze naprawdę musioł wszyćko pocyganić, tak Wojtka puściuł do domu spokojnie, a zyda kozoł znowu parobkom dokumentnie zerznąć, coby nie cyganiuł.

I tak zyd dwa razy zarobiuł uściwie i zołnirz tyz troseckę, a Wojtek nolepi na tem wysed, bo po łebie od baby nie dostoł, bo centy w porzondku przyniós, no i trosecką zmondrzoł. *A. T.*

Siła i długowieczność dawnych Polaków.

W dzisiejszych czasach ludzie przeważnie są wątli i słabi, a przyczyniają się do tego najbardziej nieumiarkowane życie, praca po fabrykach i często gęsto liche odżywianie się. Dawniej było inaczej, to też nierzadko spotykało się ludzi o nadzwyczajnej sile, o jakiej my dzisiaj nie mamy ani pojęcia. Poniżej przytaczamy kilka przykładów takiej nadzwyczajnej siły.

Ostatni książę mazowiecki, Janusz II, kruszył z łatwością podkowy, rwał grube powrozy i rzucał bez trudu wielkiem kołem. Król Zygmunt I przerywał bez trudu pełną talię kart do grania. Żyjący współcześnie krajczy nadworny, Jan Tarło, porywał przeciwnika w gonitwach i z konia zsadzał, drzwi żelazne lub zamek nie wytrzymywały uderzenia jego ręki, a oszczepem niedźwiedzia pokładał. Król August II zdołał jedną ręką zgnieść puhar srebrny, jakby z wosku ulany, zginał szyny żelazne, a wołu jednem cięciem karabeli zabijał. Kasztelan zakroczymski, Stanisław Radzimiński, konia dzikiego chwytał za uszy i zatrzymywał go, a najtęższym żołnierzem rzucał jakby prętem. Wojciech Brudzyński 6 zbrojnych huzarów do góry podnosił. Marszałek w. koronny, Prokop Sieniawski, karety w pędzie zatrzymywał, jednym zamachem szabli konie i woły przecinał w obecności króla. Kasztelan zakroczymski 6 bitych talarów pałaszem przecinał, a Marcin Brzozowski, z ziemi gostyńskiej, z beczką piwa tańczył. Za Zygmunta III żył niejaki Teodor Lacki, który wyrywał młode dęby z korzeniami, dzikiego wołu gdy ujął za rogi, rzucał nim o ziemię i kark mu skręcał. Piotr Wiesiołowski żubra na oszczepie osadził, gdy ten na polowaniu już miał uderzyć na króla Zygmunta. Piwniczny Bronickiego, Kopczak, zagrzęzłą karetę ruszał z miejsca, której 6 koni wyciągnąć nie mogło.

Przy tak olbrzymiej sile, dawni Polacy długiem cieszyli się życiem. Piast miał żyć 120 lat; Gerundy Genhof 130. Rycerz, Jan Krzetowski, mając 100 lat, wojsko do obozu prowadził. Tomasz Zamojski przeżył 100 lat, a na Wołyniu niejaki Jakób Zygmunt, w tymże wieku, jakby młodzieniec, harcował na koniu. We wsi Miechowej, w Bracławskiem, włościanka Marya Świeniecka żyła 120 lat, a Jacanowska w 165 roku życia umarła z przestrachu przy oblężeniu Torunia przez Szwedów. W okolicach Krosna rolnik jeden w 115 roku życia pracował za 4 parobków, a krawiec Puchalski w Warszawie w 102 roku życia szył bez okularów. Kucharka w Kozielcu, 106-letnia, w roku 1741 gotowała obiady nawet na senatorskie stoły. Organista w Sierakowicach w 107 roku życia grywał pięknie na organach; zbiegano się z najdalszych stron, by słuchać jego gry mistrzowskiej. W Chełmnie niejaki Pobowiedzki, woźny sądowy, 125 letni starzec, gdy krzyknął: »Mości panowie, uciszcie się!« było słychać na drugiej stronie ulicy. W Rynkowcach 112-letni starzec, młynarz, wstrzymywał jedną ręką koło młyńskie. Henorowicz, szewc, umarł w 115 roku życia. W Lichnowicach żyła rodzina Różyckich, w której przez kilka wieków każdy potomek żył około 100 lat. Ten niezwykle długi wiek był zazwyczaj skutkiem skromnego i czynnego życia.

Co prawda i dziś słyszy się tu i ówdzie o człowieku żyjącym bardzo długo, lub o nadzwyczajnym siłaczu, ale takich ludzi z każdym rokiem mniej, i przyjdzie zapewne kiedyś czas, że 70 lub 80 lat życia będą liczyć za długowieczność, a w życie ponad 100 lat ani nikt nie będzie chciał wierzyć.



W tamtę niedzielę dałem wam przecytać list mojego gazdy, abyście wiedzieli, jak se to człowiek nieraz w własny chałpie nieprzyjaciela wychowa. Ale nie myślcie, zeby to wszyćko gospodarz z własny głowy wyśtuderowali! O nie! Wiadomo przecie, ze pocontkiem i końcem wszyćkiego złego, to są baby. A ze ja babom w cały wsi rznął od dawna prawdę, więc zrobiły we wsi rewolucyją i podbuntowały moją gospodynie na gospodarza, zeby mi słuzbę wypowiedzieli. A i to wiadomo, ze kuzden chłop babie za bele co wszyćko zrobi, aby ino mieć świenty spokój, latego i mój gospodarz usłuchali gospodynię i od godów wypowiedzieli mi słuzbę.

Ja dmucham na ich słuzbę, bo mnie, jako człekowi światowemu i wsędzie znanemu, nie trudno będzie jesce o lepsą słuzbę i o lepsą gospodynię. Ale niem odejdę, musę pedzieć gospodarzowi, zeby wiedzieli, ze parobek to takze nie bele co i pchle z pod ogona nie wypadł. Bo, powiedzcie sami! jak zaden parobek bez gospodarza się nie obejdzie, tak samo i kuzden majętny gospodarz bez parobka, to mucha. A choćby i mój gospodarz! Ktoby był o nich na świecie wiedział, jakby nie »Rola« i moje w ni gadanie, które ich po świecie rozniesły.

Padają gospodarz, ze ja nic nie robię ino do gazety gadam! Acha! juści! A kto zesik całą łąkę, a kto zerznął wszyćko żyto, a kto zje całą grubę zimniaków? A któżby, jak nie Maciek?..

Trza drew urąbać — Maciek urąbie; trza wody przynieść — Maciek przyniesie; trza w stajni ogony oharuzyć — Maciek oharuzy; trza z gosposiny pierzyny pchły wytrzepać — Maciek wytrzepie. I tak tu i tam wszędzie ino i wszyćko tylko — Maciek a Maciek.

Ze się na mnie gospodyni rozźlili, to nie dziwota, bo zadna baba bez złości, toby ani dwadzieścia śtyry minuty zyć nie potrafiła, ale ze gospodarz pośli za ich polityką, to się wydziwować ni mogę. A moze gospodarzowi się widziało, ze ja se z takiego wymyślania nic robił nie będę, ale będę siedział cicho, bez co i mnie nie stracą i babie zrobią ukontentowanie. Ale niedockanie ich! Ja, jagem pedzioł, słuzbę wynajdę se galantną, a jak będzie trzeba, to i Kaśkę ze sobą na kumorne zabierę. A choćby i bez Kaśki, to myślicie, ze się nie obejdę! Acha! bab na świecie tela, kieby much, a kuzda na chłopa łakoma, kieby kot na spyrkę. Nie będzie Kaśki, to się insa, jesce obsyrniejsa przygodzi a jak posukam, to i kapelusowa się trefić moze i to w kapelusu po jakiej hrabiance.

Bez to wszyćko od godów słuzbę zmieniam; gospodarza opuscam za ich zdradliwość a sukam słuzby insej. Najlepiej tobym się chciał dostać do jakiego pana organisty, bo to i honor słuzyć u osoby duchownej i jedzenia nie braknie, bo, jak powiadają starsi, organista to taki ptak, co nie sieje ani orze, a po kolendzie ziarno zbira.

Jak się to wszyćko zrobi, to będziewa widzieć po Nowym Roku.

Rubin wszystki.

Powieść z roku 1810.

II.

Jak na teraz miałem przed sobą dwa zadania do spełnienia. Po pierwsze należało koniecznie się dowiedzieć, czy markiz już przyjechał, co bardzo być mogło, zważywszy na czas, jakiego potrzebował list, by dojść z Grzymały do Warszawy, oraz na znaną opieszałość poczt, oraz, jeżeli przyjechał gdzie mieszka i jak długo myśli zabawić w Warszawie? Po drugie, należało koniecznie wyszukać Szmula Rabinowicza, zaznajomić się z nim i przedstawić mu usługę, jakiej od niego wymagać będę. W każdym razie jednakże, pierwsza wiadomość była ważniejsza i trzeba było nią się przedewszystkiem i natychmiast zająć.

W tym celu obiegłem naprzód wszystkie hotele i zajazdy, ale w żadnym z nich nie stał jeszcze markiz. Na przypadek atoli zażądałem od rządców hotelowych, ażeby mi natychmiast donieśli o tem, jeśli w ich zajazdach stanie Don Diego Cantalacillo Fontiveras, co mi z ochotą przyrzekli, zwłaszcza, gdym poparł moją prośbę odpowiednim datkiem. Każdemu z tych panów zostawiłem mój adres, jednak z uwagi, że Hiszpan może zamieszkać w Warszawie pod markizowskiem swojem nazwiskiem, zostawiłem każdemu z rządców hotelowych jak najskrupulatniejszy rysopis markiza. Żeby zaś z powodu mojego żądania nie obudziło się w nich jakie podejrzenie, tłómaczyłem im, że mający przybyć pan jest ze mną w bardzo ważnych pieniężnych interesach, a ponieważ winien mi jest znaczną sumę, zależy mi więc na tem, żeby się z nim widzieć. Prosiłem ich przytem, by mu nic o moich zabiegach nie mówili.



.. i ucałowałem ten list.

Wszystko to jednak nie było dostatecznem. — Markiz, przybywszy do Warszawy, mógł nie w hotelu, ale w jakim domu prywatnym, u kogo ze znajomych stanąć, co jakkolwiek nie było prawdopodobnem, bo skądżeby Jeniczanek mógł mieć stosunki w Warszawie, wszelako na tę ewentualność należało się zabezpieczyć. Łamiąc sobie głowę, jakby to zrobić, poszedłem za rogatkę Jerozolimską, którędy markiz musiał przybyć koniecznie do Warszawy, jeżeli jechał od Krakowa. Tutaj wsadziwszy strażnikowi w łapę talara, opisałem mu szczegółowo Hiszpana, dałem mu jego nazwisko i prosiłem o doniesienie mi zaraz o jego przejeździe przez rogatkę.

Tym więc sposobem mogłem wiedzieć o chwili przyjazdu markiza do Warszawy, ale jeżeliby stanął nie w hotelu, mógłbym nie wiedzieć, gdzie mieszka. W tym celu udałem się do jednego z towarzyszów mego ajenta, człowieka do wszystkiego, jak to mówią, coś w guście pokątnego doradcy, a którego znałem z rekomendacyi mego ajenta i za stosowną opłatą wysłałem go na rogatkę Jerozolimską, ażeby śledził markiza gdy przyjedzie i doniósł mi, gdzie stoi. Oprócz tego zażądałem od tego jegomościa, który się nazywał Kurdybanek, ażeby mi przysłał zaraz kogo, coby mógł się w krótkim czasie wywiedzieć, czy mieszka w Warszawie bogaty żyd Szmul Rabinowicz, a jeżeli mieszka, to gdzie.

Tak załatwiwszy się, zmęczony, bo dzień był gorący, powróciłem do domu nad samym już wieczorem, pełen otuchy i nowych sił. Byłem pewny, że teraz muszę markizowi wydrzeć tajemnicę, choćbym to życiem miał przypłacić. Spokojny, zrobiwszy wszystko, co w mej mocy było, aby zapewnić mojej sprawie powodzenie, spodziewałem się w dniu jutrzejszym ważnych rezultatów, gdy nagle Kurdybanek przysłał mi przez umyślnego opieczętowaną kartkę z taką lakoniczną wiadomością:

»Szmul Rabinowicz — Nalewki nr. 2253, pierwsze piętro«.

Ucieszyła mię niezmiernie ta wiadomość, albowiem miałem pod ręką świadka, świadka jedynego, za pomocą którego mogłem dowieść tożsamości Jana Jeniczanka i pseudo-markiza Don Diego Cantalacillo Fontiveras. Zresztą w głowie począł mi już rysować się plan, którego kontury nie były jeszcze wypełnione, ale którego śmiałość i zuchwałość w sam raz odpowiadała zrozpaczonemu stanowi mej duszy, w jakim przed chwilą się znajdowałem. W planie tym Szmul Rabinowicz miał odegrać jednę z pierwszorzędnych ról, nie dziw więc, że wiadomość o jego istnieniu, a co ważniejsza, zamieszkaniu w Warszawie, napełniła mnie radością. Nie wątpiłem ani na moment, że potrafię starego żyda zyskać na swoją stronę i użyć, jak mi będzie potrzeba. Postanowiłem zaraz nazajutrz iść do niego.

Pierwszą to noc od paru tygodni przespałem snem spokojnym i silnym. Obudziłem się rzeźwy, swobodny, ufny w siebie i swoją gwiazdę.

Bóg mię doświadczył — szeptałem sobie — doświadczył ciężko, ale nie będzie chciał, bym całe życie pokutował za nieswoje grzechy. Dalej więc, głowa do góry! Róbmy wszystko, co do nas należy, a resztę zostawmy Opatrzności.

Zabierałem się już do wyjścia na miasto, bo choć było dość wcześnie, palony jednak łatwo zrozumiałą gorączką, chciałem biedz i poznać Rabinowicza, gdy mi przyniesiono list i paczkę papierów z poczty. List był od Maryni. Z biciem serca otworzyłem go. Zacna ta istota donosiła mi, że markiz w dniu 5 lipca wyjechał istotnie do Warszawy, że, czyniąc zadość memu żądaniu, opisała wszystkie wypadki, jakie miały miejsce od chwili mego wyjazdu z Grzymały, oraz zrobiła kopię z rękopisu »Sułtańskiej komnaty«, i oba te dokumenta przesyła mi przy niniejszym. Wkońcu zachęcała mię do wytrwałości i wzywała, bym koniecznie z markizem zrobił coś w Warszawie. O Julci, o drogiej mojej Julci, donosiła mi, że była nieco słabą, ale że obecnie ma się lepiej, że przesyła mi ukłony i serdeczne pozdrowienie.

Zalałem się łzami radości i ucałowałem ten list. Ale gdym się uspokoił nieco, począłem kontrolować daty. Według listu Maryni Hiszpan wyjechał z Grzymały w dniu 5 lipca, dziś zaś był 9, — że zatem, jeżeli markiz już nie przybył do Warszawy, to powinien lada chwila przybyć. Począłem się lękać, czym nie za późno się wziął do poszukiwań — ale nie było rady, trzeba czekać. Ponieważ wiadomość o przybyciu markiza mogła lada moment przyjść, nie należało mi więc opuszczać mieszkania, żeby nie stracić ani jednej sekundy czasu, gdyż zyskanie teraz na

czasie stanowić mogło o losie całego mego życia. Zdjąłem więc kapelusz i usiadłem, ale byłem jak na rozpalonych węglach. Wrzało wszystko we mnie.

Otworzyłem paczkę nadesłaną mi przez Marynię i jednym tchem odczytałem obie relacye. Ze sprawozdania Maryni przekonałem się, że jedynie markiz sam może mi przywrócić utracony honor — oraz uznałem całą wartość rady mecenasa U. Jeżeli bowiem miałem kiedyś prosić o rękę Julci, a biedne serce moje nie mogło pozbyć się tej nadziei, nie należało w żadnym razie narażać sobie regimentarza, oddając zaś markiza w ręce sprawiedliwości, oburzyłbym starego konfederata, który winien był Hiszpanowi, jak to sam mówił, honor szlachecki i życie. A przytem szło tu o jakąś sprawę Pandurów, której nie znałem, a o której już parę razy coś słyszałem. O hrabiego Holma nie dbałem już nic, ten w tej chwili stał na drugim planie; zresztą powalenie markiza obalało zarazem Holma.

Z rękopisu »Sułtańskiej komnaty« przekonałem się, że rubin w rzeczy samej istniał i zrozumiałem, dlaczego regimentarz kontent był z jego zatracenia.

Kiedym skończył odczytywanie papierów była już godzina dwunasta. Niespokojność we mnie wzrastała z każdą chwilą, gdyż, bądź co bądź, markiz o tej porze powinien już być w Warszawie, a ja powinienem mieć o tem wiadomość. Jeżeli więc dotąd nic mi nie doniesiono, to albo Hiszpan odrazu z Grzymały ruszył za granicę, albo przybył do Warszawy jeszcze wczoraj i tym sposobem wymknął się mym poszukiwaniom. Na tę myśl zimny pot oblewał mi czoło.

Ale Bóg nie opuścił mię zupełnie, jak to zaraz opowiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

A kiedy kochasz...

A kiedy kochasz, to bądźże tą gwiazdą,
Która do czynów wielkich zaprowadzi,
Która pobudza i wspiera myśl każdą
I ścieżki życia swą jasnością gładzi.

A kiedy kochasz, to bądźże tą wodą
Ożywczą, która w sercu budzi siły,
Która mi w życiu mem będzie osłodą
I towarzyszem, choćby do mogiły.

A kiedy kochasz, to bądźże ostoją,
U której złożę głowę skołataną;
Bądź szczęściem mojem i miłością moją,
Kochaj taksamo, jak jesteś kochaną!

A kiedy kochasz, to tę miłość jasną
Oddaj mi całą na własność wyłączną —
Niech ona będzie tylko moją własną
I z mojem życiem nigdy nierozłączną.

Świeć mi, och świeć mi, na jasnym lazurze
I prowadź w życiu, jak gwiazda przewodnia,
Do gwiazd, do szczęścia a ciągle ku górze...
Bądź przewodniczką biednego przechodnia.

Antoni St. Bassara.

Z TYGODNIA.

Nowy Biskup krakowski. Cesarz zamianował kanonika kapituły rzymsko-katolickiej we Lwowie ks. Adama Sapiechę księciem-biskupem w Krakowie. Nowy dostojnik Kościoła urodzony w r. 1867, święcenia kapłańskie otrzymał we Lwowie 1 października 1893 r. z rąk kardynała Puzyny, ówczesnego biskupa-sufragana lwowskiego. W r. 1896 udał się na dalsze studya do Rzymu, gdzie przebywał w kolegium polskiem i w akademii duchownej. W r. 1905 Pius X powołał ks. Sapiehę do Watykanu i powierzył mu stanowisko szambelana. Na tem stanowisku ks. Sapieha miał sposobność informowania Stolicy apostolskiej o sprawach Kościoła w Polsce. Wiadomość o powołaniu ks. Sapiehy na tron biskupi w Krakowie została przyjętą z żywą radością. W ks. Sapieże zyskuje bowiem dyecezya krakowska a z nią kraj cały nietylko cnotliwego kapłana, ale gorącego Polaka i męża niepospolitego rozumu.

Minister Zaleski posłem na Sejm. Wyborcy wielkiej własności byłego obwodu krakowskiego mają zaprosić do kandydowania na posła do Sejmu krajowego w miejsce ś. p. Czecza ministra skarbu Wacława Zaleskiego.

Parlament w sprawie mięsnej i hodowli bydła. Parlament austryacki uchwalił na wniosek pos. Steinhausa zezwolić na ograniczony czasowo i ilościowo przywóz mięsa argentyńskiego i bałkańskiego, odpowiednio do potrzeby. Ponadto parlament przyjął wnioski posłów Steinhausa, Hallera i Spaczka w sprawie podniesienia stanu swojskiego bydła, dalej w sprawie zarządzeń dla organizacyi dowozu swojskiego mięsa i bydła do miast, jako też w sprawie wdrożenia akcyi zapomogowej dla ludności wiejskiej.

Wojna włosko-turecka. Na placu boju zapanowała chwilowa cisza Włosi czekają widocznie na przybycie posiłków, nie przedsiębiorą więc żadnych innych kroków. Turcy zaś podobno cofnęli się o 9 klm. z pod Trypolisu. — Wieści o bliskiem rzekomo rozpoczęciu przez Włochów akcyi wojennej na morzu Egejskiem, po kilkudniowem milczeniu odzywają się na nowo. Niepewność co do tego wywołuje w dziedzinie żeglugi i handlu morskiego ogromne zamieszanie. Turcya na wieść o zamiarze Włoch, zamyka minami swoje porty, a także Dardanele, cieśninę morską między Turcyą europejską a azyatycką, przez co stają się one niedostępnemi także dla okrętów handlowych. Największą z tego powodu stratę ponosi handel Rosyi, ponieważ okręty rosyjskie poza Czarne morze wydostać się nie mogą. To też Rosya najgłośniej już protestuje przeciwko tym zamiarom Włoch.

Latawce w służbie wojskowej. Rzad niemiecki wstawił w budżet państwa, na rok przyszły, 6 milionów marek na latawce wojskowe. Podobno spowodowały go do tego korzystne wyniki, jakie z latawcami osiągnęli Włosi na polu walki w Trypolitanii.

Rewolucya w Chinach. Z powodu długotrwającej rewolucyi nastąpiło w Chinach groźne przesilenie pieniężne. Kasy oszczędności i banki całymi dniami są oblężone przez osoby, pragnące wycofać wkładki. Środki żywności podrożały dziesięciokrotnie. Powstańcy nie ustają w działaniach wojennych. Bombardują miasto Nankin, wojska cesarskie poniosły znaczne straty. Rządy obce zaczynają przychodzić im z pomocą, wzmacniając własne garnizony w Chinach, zwłaszcza zaś rząd japoński oświadczył gotowość wysłania wojsk do kilku miast, między innemi do stolicy Chin Pekinu.

KRONIKA.

Od Redakcyi. Przypominamy, że najwyższy czas przysyłać prenumeratę na r. 1912. Im kto wcześniej nadeśle 4 K. 50 h., tem prędzej otrzyma Kalendarz obrazkowy „Roli“, a nam ułatwi tem bardzo pracę, której w pierwszych dniach stycznia będziemy mieli bardzo dużo ze względu na rozsyłkę „Podarków szczęścia“.

W 1 numerze z 1912 r. rozpoczniemy druk dwóch pięknych powieści. Pierwsza p. t.

Berezyna

będzie opisywała wojny i klęskę Napoleona w odwrocie z Moskwy; druga p. t.

Rozbitki z balonu

będzie ciekawym opisem nadzwyczajnych przygód odważnych podróżników. Obrazki umyślnie dla „Roli“ robione będą ją zdobiły w każdym numerze.

(J. K.) **Wieczorek Kościuszkowski.** Ubiegłej niedzieli odbył się w Busku w sali Kasyna wieczorek ku czci nieśmiertelnej sławy wodza narodu, Tadeusza Kościuszki. Słowo wstępne wygłosił p. Janikowski ze Lwowa, następnie była deklamacya p. t.: »Pogrzeb Kościuszki« i sztuczka p. t.: »Kościuszko w Petersburgu«. Nastrój na wieczorku był bardzo poważny. Publiczność wypełniła całą salę. Radosnem okiem patrzyło się, jak między atłasowymi żakietami i drogiemi futrami szarzały chusty i sieraki ludu naszego, który jawił się dość licznie, aby godnie uczcić pamięć swojego wielkiego wodza.

Z Towarzystwa Szkoły Ludowej. Wpisy do szkół kresowych w bieżącym roku szkolnym wykazały znaczny przyrost dziatwy. Objaw to bardzo pocieszający, świadczy bowiem, że wytężona i wydatnemi ofiarami okupiona praca nad ludem zagrożonym ze strony Czechów i Niemców, wydaje coraz obfitsze owoce. Ubiegłego roku wynosiła liczba wpisanej dziatwy 2441, a zastęp nauczycieli 59, w bieżącym zaś roku cyfry odnośne podskoczyły do 2609 względnie 65. Są to szkoły następujące: Przywóz, Leszczyny, Jaworze, Maryańskie Góry, Hermanice, Czechowice, Radwanice, Witkowice, Hałcnów, Morawska Ostrawa: szkoła pospolita, wydziałowa żeńska, wydziałowa męska i ogródek; w Białej: szkoła ludowa męska, wydziałowa męska, ludowa żeńska, wydziałowa żeńska. Koszta utrzymania tych szkół obciążają budżet Towarzystwa przeszło 130 tysiącami koron rocznie.

(K. T.) **Nieszczęśliwy wypadek.** W Woli rogowskiej, powiatu dąbrowskiego, wydarzył się nieszczęśliwy wypadek w dniu 19 listopada. Franciszek Szołan, wraz ze swymi domownikami, młócił zboże w maszynie, a w kieracie popędzały konie dwie dziewczyny, jedna 16 letnia, druga 9-letnia. Tymczasem wiatr zawiał powrósło na pręt transmisyjny. Pierwsza dziewczyna chciała takowe zdjąć. Tymczasem rękę jej wzięło między słomę a pręt, urywając ją po łokieć. Nazajutrz dziecko umarło. Oto skutki nieostrożności przy maszynach.

(K. T.) **Ofiara pijaństwa.** W Przybysławicach, powiatu brzeskiego, 18 listopada jechał gospodarz, Dominik Zachara, z lasu w stanie podchmielonym i spadając, dostał się pod koła wozu, naładowanego drzewem, które zmiażdżyły mu nogę. W stanie niebezpiecznym odwieziono go do szpitala powszechnego w Tarnowie, gdzie w dwie godziny po odjęciu nogi ducha wyzionął. — Otóż to nieszczęsne skutki pijaństwa.

Rozszerzanie prawosławia w Galicyi. — W ostatnich kilku miesiącach cerkiewne urzędy rosyjskie zdołały utworzyć na trzech krańcach Galicyi trzy prawosławne misye. Misyę dla zachodniej Galicyi objął pop Sandowicz, który osiedlił się w Zdyni (dyecezya przemyska), misyę dla północno wschodniej Galicyi pop Illeczko, który osiadł w Tylży koło Sokala, a misyę dla południowo-wschodniej Galicyi objął pop Hudymy, który osiadł w Załuczu koło Śniatyna. Te trzy misye, już zorganizowane, rozwinęły energiczną propagandę religijnego i narodowego odstępstwa. Organizacya dalszych misyi jest już przygotowana i każdej chwili spodziewać się można przyjazdu prawosławnego misyonarza do Strzelisk Starych i Knisiela w powiecie bobreckim, do Bieńkowic w powiecie rohatyńskim, do Kostynia i Butiewa w powiecie brodzkim. Niema wątpliwości, że za temi misyami przyjdą dalsze. Jak znaczne wynagrodzenie otrzymują prawosławni misyonarze można wnosić z tego, że Sandowicz dostaje z rosyjskiego skarbu 600 rubli na kwartał.

(J. T.) **Pożary.** Z dnia 1 na 2 listopada wybuchł pożar w Jaworzu, na Śląsku austr., u Jana Cholewika. Spłonęła gospoda, własność hr. Larysza. Pożar spowodowali jacyś dotąd niewyśledzeni sprawcy, którzy włamali się do sklepu, a przyświecając sobie zapałkami, zapalili naftę w pobliżu się znajdującą. Zajął się cały dom, zgorzało wszystko doszczętnie, tylko mury pozostały. Asekuracya pokryła większą część szkody, resztę ponosi gospodarz.

(K. T.) W Jadownikach mokrych, powiatu dąbrowskiego, w dniu 19 listopada spłonęły dwa zabudowania gospodarcze, a mianowicie: dwa domy mieszkalne, dwie stajnie, dwie stodoły Jana Urbana, zastępcy naczelnika straży ogniowej i Jana Burzawy. Przyczyny pożaru dotąd nie zbadano. Burzawa miał zabudowania ubezpieczone na 1000 koron, drugi nie wiadomo, czy był asekurowany. Szkoda wynosi przeszło 9000 koron.

(J K.) Dnia 17 listopada wybuchł pożar w Busku, na przedmieściu Długa Strona. Spłonęły dwie stodoły gospodarza Dutkiewicza. Dzięki natychmiastowej i energicznej pomocy miejskiej straży pożarnej ogień, który groził sąsiednim budynkom, wkrótce umiejscowiono. Przyczyną pożaru było podpalenie.

Niebezpieczny jeleń. W Czechach, w lasach należących do pewnego magnata, znaleziono w niezwykły sposób zeszpecone zwłoki leśnika, który był w tych lasach zajęty. Do niego należało między innemi żywienie jeleni i bażantów.



Wśród jeleni znajdował się jeden, niezwykle niebezpieczny i okazały, o wspaniałych rozłożystych rogach. On to chwycił niosącego żywność leśnika, niósł go na rogach kilkadziesiąt kroków i wreszcie rzucił na ziemię.

Spalona staruszka. Ofiarą własnej nieostrożności czy też nieporadności z powodu podeszłego wieku, padła w zeszłym tygodniu 70 letnia staruszka, wdowa po kupcu z Kamionki Strumiłowej. Od dłuższego czasu mieszkała przy ul. Jachowicza we Lwowie u podróżującego agenta handlowego, gdzie wszystko załatwiała sobie sama, grzejąc na maszynce spirytusowej pożywienie. Gospodarze mieszkania przed kilku dniami wyjechali ze Lwowa a pieczę nad mieszkaniem pozostawili staruszce. W ubiegłą sobotę, po godz. 8 wieczorem, plutonowy policyjny, przechodząc ulicą, zauważył silny blask w oknach domu, a spojrzawszy bliżej, przekonał się, iż pokój cały jest w płomieniach. Zaalarmował tedy mieszkańców, wysadził drzwi i przy pomocy kilku ludzi stłumił ogień, który objął już całe urządzenie pokoju, zanim przybyła straż pożarna. Już na odchodnem, gdy plutonowy zauważył otwarte drzwi do łazienki i tknięty przeczuciem czy też ciekawością, wszedł do łazienki ze światłem; oczom jego przedstawił się straszny widok: w wannie, w resztkach spalonej odzieży leżały straszliwie poparzone, prawie nagie, zwłoki owej staruszki. Odrobina wody, znajdująca się na dnie wanny, nie zdołała ugasić płonącej odzieży ofiary wypadku, albo też ugasiła ją już za późno. Prawdopodobnie staruszka, przygotowując sobie wieczerzę, chciała dolać spirytusu do palącej się maszynki, spirytus się zajął, a potem umeblowanie pokoju i odzież na niej. Wpół przytomna pobiegła do wanny, chcąc się ratować i wlazłszy raz do pustej prawie wanny, nie miała już sił, aby odkręcić kurek, ani też wydobyć się z wanny i zginęła w najstraszniejszych męczarniach, uduszona dymem płonących mebli, żywcem pieczona na ogniu własnego odzienia.

(J. T.) **Podpalenie.** Z dnia 13 na 14 z. m. w nocy podpalił cygan stodołę Pawła Kusia w Jaworzu ze zemsty, że mu nie chciano dać siana. Spaliło się wiele maszyn rolniczych, oraz strawa dla bydła. Szkoda jest wielka. Sprawcę uwięziono.

Śmierć matki i dziecka. W jednem z mniejszych miast Dolnej Austryi zdarzył się wstrząsający wypadek. Na II piętrze, w kamienicy na przedmieściu, mieszkał pewien robotnik fabryczny z żoną i dzieckiem. Ludzie ci żyli przykładnie, kochali się, skromne utrzymanie im wystarczało.



Naraz przyszedł okrutny cios. Mąż z powodu wypadku przy maszynie zmarł nagle w ciągu kilku dni. Zrozpaczona żona, nie mogąc utulić się w żalu, raz, w przystępie rozpaczy, wyrzuciła dziecię przez okno i zaraz za niem rzuciła się z drugiego piętra głową na bruk. Dziecię i matka zginęli. — Straszny ten wypadek przedstawia nasza rycina.

Zabawna odpowiedź ucznia. W pewnej szkole opowiadał nauczyciel uczniom, jak wiele niedźwiedzi bywało dawniej w kraju, ale, dodał przytem, cywilizacya je wyniszczyła. Wiecie tedy, spytał następnie, co jest cywilizacya? Tak jest, zawołał jeden z malców. Cywilizacya, to ciężka choroba, na którą niedźwiedzie zdychają.

W strasznym obłędzie. W Wiedniu, w domu byłego kierownika ministerstwa sprawiedliwości Holzknechta zdarzył się 16 z. m. straszny wypadek. Siedmnastoletniego syna Holzknechta, przygotowującego się do matury, uczył Dr. Matkovich, praktykant sądowy, który zakochał się w siostrze swego ucznia, 24 letniej Maryi, nauczycielce w szkole wydziałowej. We wtorek prosił Matkovich o jej rękę, lecz otrzymał odpowiedź odmowną głównie dlatego, że nie ma jeszcze stałego stanowiska, aby mógł rodzinę utrzymać. Dnia tego obchodzili Holzknechtowie srebrne wesele, na które z obcych zaprosili tylko Dra Matkovicha. O godz. 4 popołudniu wszedł Matkovich do mieszkania Holzknechtów bez powitania, wyjął rewolwer i dał kilka strzałów do obecnych, poczem odebrał sobie życie. Siedmnastoletni Jerzy Holzknest i jego siostra Marya zginęli na miejscu. Drugi syn Holzknechta, 23-letni młodzieniec, został śmiertelnie raniony. Okropnego czynu dokonał Matkovich w przystępie obłędu, nigdy bowiem pannie nie okazywał swych uczuć, formalnie nie starał się o jej rękę i rodziców o nią nie prosił.

Dzieciobójczyni. Z Gösting pod Hradcem, w Styryi, donoszą, że aresztowano tam 29-letnią szwaczkę, w której mieszkaniu znaleziono zwłoki trojga jej dzieci, które stale dusiła zaraz po przyjściu ich na świat. Zwłoki niemowląt leżały w zakopanej pod ziemią skrzyni i uległy już rozkładowi.

Gdzie się podziewają przepiórki? Dwa największe towarzystwa okrętowe włoskie przewiozły w pierwszych dziewięciu dniach maja b. r. 536.000 przepiórek. Włoscy ptasznicy łowią w czasie ciągu po parę tysięcy ptaków (przepiórek, drozdów, skowronków) na głowę. — Z Egiptu rozsyłają co roku przeszło milion przepiórek. We Francyi, Hiszpanii, Portugalii, na półwyspie Bałkańskim i w Małej Azyi niesłychane mnóstwo przepiórek pada ofiarą różnego rodzaju łowów.

Ośmdziesięciolecie zapałek. W roku 1912 minie lat 80 od chwili wynalezienia zapałek. Jak wszystkie doniosłe dzieła, tak i wynalezienie zapałek napotykało początkowo na przeszkody, stawiane przez ludzi wpływowych, a nawet przez rząd. Wynalazcą zapałek był Niemiec, Jan Kemmerer, z zawodu chemik, skazany za mowę przeciwrządową na więzienie. Odsiadując karę w Hohanaspergu w roku 1832, z nudów zastanawiał się nad nowym sposobem wywołania ognia, aż wkońcu wpadł na pomysł zapałek siarkowych. Gdy po odsiedzeniu kary szukał, ktoby nabył jego wynalazek, rząd pruski zakazał »tworzenia niebezpiecznego środka wywołania ognia«, pod groźbą ciężkich kar. Wobec tego Kemmerer założył fabrykę tajną i wysyłał wyroby swoje za granicę. Władze niemieckie jednak wykryły fabrykę, poleciły ją zburzyć i wydały zakaz sprzedawania i używania niezwykle niebezpiecznych zapałek, wynalezionych i tworzonych przez chemika Kemmerera. Sam wynalazca dostał się do więzienia, gdzie stracił zmysły, a w roku 1587 zmarł. Przedsiębiorcza Anglia i Francya poczęła natychmiast fabrykować zapałki, natomiast Niemcy długi jeszcze czas musiały zadowalać się krzesiwem, a później te dziś nieocenione zapałki sprowadzać z za granicy.

Rzucili się z wieży kościelnej. W pewnem mieście rumuńskiem zgłosiła się do kościelnego elegancko ubrana para młodych ludzi, chcących zwiedzić kościół i wieżę kościelną, z której roztacza się wspaniały widok na kilka mil wokoło. Kościelny uczynił zadość ich żądaniu i nieznajomi poszli na

wieżę. Minęło może pół godziny, gdy nagle z najwyższej galeryi wieży runęły w dół dwa ciała, rozbijając się w upadku o bruk. Przy zwłokach mężczyzny znaleziono list, w którym zawiadamia, że oboje odbierają sobie życie z powodu, że pobrać się nie mogli. Bądź co bądź nieszczęśliwa para wybrała osobliwy rodzaj śmierci.

W strasznem położeniu. W Alpach tyrolskich pewien przewodnik po górach uległ niezwykłemu wypadkowi. Wybrał się jednego razu, aby drzewa zwalone przez burzę i zagradzające drogę usunąć ze ścieżki górskiej.



Gdy odrębywał korzenie olbrzymiego drzewa, które powalone burzą leżało, nagle w miejscu gdzie stał osunęła się ziemia i wpadł po piersi w dół, do którego natychmiast zsypała się ziemia wraz z drobnymi kamyczkami, tak, że biedak ruszać się nie mógł. W okropnem położeniu przebywał 5 godzin, aż go odkopali dwaj udający się na wycieczkę panowie.

„Stowarzyszenie krzywoprzysięzców“. — Ustawicznie się teraz ludzie stowarzyszają, zwyczajnie dla celów godziwych. Łajdaki i opryszki jednak, aby im »interesy« lepiej szły, również chwytają się tego środka. Oto niedawno zawiązało się w Zabrzu, na Śląsku pruskim, »Stowarzyszenie krzywoprzysięzców z ograniczoną poręką« i już od dłuższego czasu z powodzeniem dokonuje rozmaitych przestępstw, służąc pomocą przy składaniu fałszywego świadectwa przed sądem. Kilku opryszków tej bandy obecnie wykryto i śledztwo wdrożono. Oskarżonych jest 25 ludzi.

Pogrzeb lotnika. W Poczdamie, w Niemczech, odbył się pogrzeb lotnika Pietschkera, który padł ofiarą katastrofy w Johannisthal. Kiedy kondukt pogrzebowy przybył na cmentarz i zwłoki składano do grobu, opuścił lotnik Witte z latawca, unosząc się nad cmentarzem w wysokości 50 metrów, wieniec żałobny z szarfą, na której umieszczone były słowa: »Ostatnie pożegnanie ze sfer powietrznych«. Latawiec Wittego owinięty w krepę, zatoczył kilka kręgów nad cmentarzem, poczem zniknął w przestworach powietrznych.

Jedyny klasztor katolicki. W obrębie dziewięciu guberni Litwy i Rusi istnieje jeden tylko klasztor katolicki męski z prawem przyjmowania nowicyuszów. Klasztor ten znajduje się w Kretyndze, w pobliżu dóbr tejże nazwy, tudzież miasteczka, stanowiących własność Aleksandra hr. Tyszkiewicza. Jestto klasztor OO. Bernardynów pod wezwaniem Zwiastowania N. Maryi Panny. W klasztorze ma prawo być 14 zakonników. Jest w nim jednak teraz tylko trzech.

Głód w Rosyi. Straszne rozmiary przybiera klęska głodowa w Rosyi. Gubernator Saratowa, w głębi Rosyi, objeżdżał niedawno miejscowości dotknięte klęską głodową. Tłum włościan padał przed nim na kolana, błagając ze łzami o pomoc. Gubernator kazał im wstać, przyrzekając, że postara się u rządu o pomoc. Na razie poradził im, by masowo wstrzymali się od zawierania ślubów. W powiecie szeladińskim chłopi dodają do mąki białej gliny, gdzieindziej zaś mielonej brzeziny. W gubernii ufimskiej około 2000 osób jest chorych na tyfus głodowy. Naoczny świadek opowiada o strasznych mękach i majaczeniach tych chorych, którzy krzyczą tylko jeden wyraz: chleba! Na ciele chorych widać straszne ślady przebytego głodu. Niektórym odpadają palce u rąk i nóg. W gubernii orenburskiej wiele domów jest bez dachów, gdyż słomy ze strzech użyto na pokarm dla bydła. Teraz chłopi wysprzedają bydło, biorąc za konia po 3 ruble! Wogóle wysprzedają włościanie cały swój dobytek, poczem sami zaprzęgają się do wozów i udają się do miast, szukając zarobku. Po drodze zostawiają trupy ginących z głodu, zwłaszcza starców, kobiet i dzieci. W niektórych miejscowościach podpalają chłopi dwory. Na wielu dworach znaleziono przybite kartki ze słowami: »Nie dajecie nam chleba, to podpalimy i w ten sposób zrównamy bogatych z ubogimi«. Na pomoc dla głodnych przeznaczył rząd 45 milionów rubli na roboty publiczne. Ponieważ jednak wobec nadużyć i sprzeniewierzeń czynowników na rodzinę wypadało zaledwie po 12 – 15 kopiejek, przeto włościanie porzucili roboty. Rząd uznał to za bunt i wysłał przeciw nim wojsko. Dziś powiadają, że czego nie zniszczył głód, dobiły nahajki kozackie.

Samobójstwo przy muzyce. Pisma petersburskie donoszą, że we wsi Biała Góra, dokąd wiele osób na lato zjeżdża z Petersburga, oficer rezerwy M. Werigin, zaprosił do siebie na wieczór wszystkich swych przyjaciół i znajomych. Gdy goście przybyli W. sprowadził orkiestrę i urządził wspaniałą ucztę. O godzinie 11 w nocy w ogrodzie spalono ognie sztuczne, co ściągnęło tłumy widzów. Następnie W. poprosił przyjaciół, by pozostali jeszcze na chwilę w ogrodzie, ponieważ pragnie przemówić do nich z werandy swej willi. Muzyka zagrała walca. Werigin stanął na balkonie i wygłosił krótką mowę, w której wyliczył mnóstwo błędnych kroków w życiu swem. »Teraz nie popełniam błędu, patrzcie — dodał i zanim przyjaciele zdołali go powstrzymać, wyjął rewolwer i zastrzelił się.

Postęp katolicyzmu w cyfrach. Z dzieła uczonego włoskiego A. M. Stradelliego, który z największą skrupulatnością badał rozwój katolicyzmu na całym świecie w ciągu ostatnich 100 lat, dowiadujemy się, że religia katolicka, mimo wszelkie trudności, z jakiemi się właśnie w ciągu ostatniego stulecia spotykała, stale się rozwijała i coraz liczniejszych znajdowała wyznawców. Następujące dane niechaj służą za dowód. W ostatnich stu latach wzrosła liczba katolików: w Anglii ze 120.000 do 2,180.000, w Niemczech z 6 milionów do 20 milionów 321.441, w Szwajcaryi z 420.000 do 1 miliona 300.000, w Rumunii z 16.000 na 150.000, w Bośnii i Hercegowinie z 25.000 do 398.000, w Bułgaryi z 1300 do 28.000, w Serbii z 6000 do 20.000, w Grecyi z 15.000 do 44.000, w Rosyi 1905 do 1909 r. przeszło na katolicyzm 230.000 osób, w Turcyi europejskiej w ciągu mniej więcej takiego samego okresu 24.855 osób, w Afryce jest teraz 850.000 katolików, na początku zaś wieku 19 było ich kilkadziesiąt tysięcy. Podobną liczbę posiadała Azya około r. 1800, teraz jest tam 4,600.000 katolików. W Stanach Zjednoczonych wzrosła liczba katolików z o tysięcy do 22 milionów 587.079, w Kanadzie ze 160 000 do 2 milionów 250 tysięcy, w Ameryce południowej jest dzisiaj 40 milionów katolików, w Australii, której katolików można było policzyć na palcach w r. 1800 teraz jest 1,600.000.

Bandyta w roli fryzyera Niedawno temu przyjechała do Warszawy właścicielka dóbr z głębi Rosyi, nazwiskiem Odanzow, celem odwiedzenia swych krewnych. Przybyła zatrzymała się w jednym z hoteli, gdzie padła ofiarą wyrafinowanego napadu. Kiedy mianowicie pani Odanzow, zwróciła się z poleceniem do służącej, by zawezwała jej fryzyera, ta ostatnia poleciła jej młodego mężczyznę, rzekomo Francuza, Carosse, który wkrótce przybył do hotelu i zajął się czesaniem włosów swej klientki. Podczas tego zajęcia podsunął jej pod nos watę zapuszczoną płynem usypiającym. Pani Odanzow straciła przytomność, a wtedy fryzyer, który był — jak się później okazało — jednym z najniebezpieczniejszych złodziei hotelowych, otworzył walizkę i skradł z niej kosztowności i pieniądze, poczem zbiegł. Fałszywego fryzyera aresztowano niebawem w Petersburgu wraz ze służącą okradzionej, która była z nim w porozumieniu.

Wyludnianie się Francyi. Dziennik urzędowy francuski ogłosił daty o ruchu ludności we Francyi w pierwszej połowie roku bieżącego. Wyniki tego cyfrowego zestawienia są bardzo smutne. Liczba zgonów jest o 18.279 większa od liczby urodzin. We wszystkich departamentach Francyi liczba urodzin zmniejszyła się, z wyjątkiem pięciu departamentów Bretanii, nadmorskiej prowincyi Francyi.

Ćwiczenia wojska francuskiego w Algierze. Wojsko francuskie w Algierze, krainie afrykańskiej należącej do Francyi, urządza dla młodych rekrutów ciekawe ćwiczenia. Polegają one na tem, że żołnierze walczą z manekinami, t. j. tłómakami wypchanemi i przybranemi w mundur, uczą n. p., jak w biegu zabić nieprzyjaciela, leżącego na ziemi. Jest to raczej rodzaj rozrywki, w porównaniu z ciężkiemi ćwiczeniami.



Arabowie, którzy się temu z całą przyjemnością przypatrują, uważają ten sposób nauki jedynie za zabawkę, nie myśląc nawet o tem, że niejednego z nich, w razie buntu, spotkałby taki sam los.

Zuchwały ale słowny kłusownik. Niedawno temu mieli żandarmi francuscy ciężką przeprawę z pewnym kłusownikiem. Skazany na trzy miesiące więzienia, chcąc uniknąć kary, zabarykadował się w swojem starem domostwie na wsi i zagroził bronią żandarmom, którzy po niego przybyli. Przez trzy dni trzymał w szachu sześciu żandarmów, którzy lękali się przystąpić do szturmu. Wreszcie przybył sędzia i rozpoczął układy. Oblężony postawił ostre warunki, mianowicie, że oblegający pozwolą mu wyjść z bronią, on zaś dobrowolnie przybędzie do więzienia. Sędzia przyjął ten warunek i kłusownik wyszedł wolny z »fortu«, ale słowa dotrzymał, bo nazajutrz stawił się w więzieniu, gdzie z wielką dumą zapewniał, że jest człekiem honorowym i słowa nigdy nie łamie.

Morderstwo w samochodzie. Ohydnej i śmiałej zbrodni dokonano w pobliżu miasta Amiens we Francyi. Dwóch ludzi wynajęło dorożkę samochodową i poleciło palaczowi, by jechał do lokalu, przed miastem położonego. W drodze jeden z jadących dał znak palaczowi, a gdy ten obrócił się, przeciął mu gardło brzytwą. Dogorywającą, w krwi broczącą ofiarę wyrzucono do rowu przydrożnego. Samochód pod kierownictwem zbójów pomknął dalej. Umierający palacz zdołał jeszcze nakreślić liczbę swojego wozu i podał ją przechodniom. Zbirów zaaresztowano w oddaleniu 10 kilometrów od Amiens.

Ofiara chciwości. Pewna firma kupiecka w mieście Tulonie we Francyi, chcąc zwrócić uwagę w sposób szczególny na swoje towary, zaproponowała jednemu ze znanych lotników, by, za grube wynagrodzenie, wzniósłszy się nisko na latawcu i rozrzucał drukowane reklamy, zachwalające towar owej firmy. W ubiegłą niedzielę ów lotnik, złakomiwszy się na znaczny zysk, wzniósł się w powietrze, aby rozrzucać reklamy. Paczka tych reklam wpadła do rury motoru, co wywołało katastrofę. Maszyna spadła ze znacznej wysokości i lotnik doznał tak ciężkich potłuczeń, że słaba jest nadzieja utrzymania go przy życiu.

Niedoszłe państwo żydowskie. Zajęcie Trypolisu przez Włochy przypomina głośny przed kilku laty projekt utworzenia państwa żydowskiego w sąsiadującej z Trypolisem i razem z nim obecnie przez Włochy zajętej Cyrenaice, czyli Barce. Twórcą tego projektu był niejaki Dr. Zangwil, który jeździł umyślnie do Cyrenaiki i uznał kraj ten za nazdatniejszy dla masowego osiedlenia w nim żydów. Gazety włoskie z zaniepokojeniem omawiały tę sprawę, zaznaczając, że Cyrenaika leży w »sferze interesów« gospodarczych włoskich a Włochom nie uśmiecha się tam wcale »państwo żydowskie«.

Mowa pogrzebowa matki. Rzadko się chyba zdarza — o ile wogóle zdarzało się już kiedykolwiek — aby matka przemawiała nad grobem syna. Trafiło się to niedawno w Kopenhadze. Przy złożeniu do grobu szczątków podsekretarza królewskiej biblioteki, młodego i rokującego wielkie nadzieje uczonego, nad trumną stanęła matka i w krótkich, wymownych słowach opowiedziała o latach dziecięcych i o stopniowym rozwoju umysłu swego syna, poczem doniosłym i dźwięcznym głosem odmówiła: »Ojcze nasz« za jego duszę.

Wielkie deszcze w Anglii. Podczas gdy jesień obecna u nas odznacza się niezwykłym brakiem deszczu, w Anglii wielkie opady deszczowe w ostatnich dniach zalały, mniej lub więcej, wszystkie niziny, zwłaszcza w Anglii południowo-wschodniej; w Londynie i całej okolicy. — W wielu miastach i wsiach zalane są piwnice, a nawet sklepy i mieszkania i sklepy parterowe. W niektórych miejscowościach woda stoi tąk wysoko, że ruch uliczny musi się odbywać za pomocą łodzi. Stan ten potrwa niewątpliwie dłuższy czas, zanim spłyną olbrzymie masy wody, które w niektórych okolicach robią wrażenie niezmiernych jezior. W ostatnich latach Londyn bardzo często nawiedzają wielkie opady deszczowe.

Nagrody dla włamywaczy. Pewna nowojorska firma, wyrabiająca szafy pancerne do przechowywania pieniędzy, ogłaszała od dłuższego czasu we wszystkich dziennikach amerykańskich, że ofiaruje 5000 dolarów nagrody temu, kto rozbije szafę pochodzącą z jej fabryki. Na wezwanie to nikt się nie zgłosił, ponieważ ogłoszenia nie traktowano na seryo. Wówczas firma wpadła na inny pomysł. W Nowym Jorku pojawiły się nowe ogromne plakaty, zawiadamiające o bezskuteczności poprzedniej reklamy i wy-

szydzające niemiłosiernie »cech« włamywaczy, z których ani jeden nie czuje się zdolnym do rozbicia szafy. Plakaty te wywarły nadzwyczajny skutek: wszyscy mistrzowie sławetnego »cechu« włamywaczy poczuli się tem głęboko obrażeni i za pośrednictwem dzienników zgodzili się na próbę. Próba odbyła się w cyrku w St. Louis. Włamywaczom, za zgodą policyi, zapewniono bezpieczeństwo.



W oznaczonym dniu cyrk zapełnił się szczelnie publicznością. Wyniesiono na scenę 10 szaf opancerzonych, w których znajdowało się po 5 tysięcy dolarów. Głębokie milczenie zaległo cały cyrk. Wkrótce też zjawiło się 10 najznakomitszych włamywaczy, ubranych z wyszukaną elegancyą we fraki. Włamywacze z całym spokojem zabrali się do pracy, przyczem od czasu do czasu udzielali objaśnień publiczności. Niedługo jedna z szaf była otwarta. Włamywacz we fraku z pośpiechem włożył rękę do wnętrza, wyjął pieniądze i schowawszy je do kieszeni, oddalił się, uśmiechając się słodko i obiecująco do publiczności. Za przykładem pierwszego poszło siedmiu innych włamywaczy. Dwom tylko nie powiodło się. Firma poniosła haniebną klęskę! Zabawne to przedstawienie włamywania się przedstawia nasz obrazek.

Proces odpalonego konkurenta. W Nowym Jorku porucznik austryacki, Edward Sturz, wytoczył sprawę o wynagrodzenie w sumie 50.000 dolarów przeciw milionerowi Mac Murayowi, właścicielowi olbrzymich magazynów, ponieważ panna Murayówna odmówiła oddania porucznikowi swej ręki, on zaś, konkurując, był narażony na poważne wydatki, więc żąda wynagrodzenia. Ominęły go wprawdzie miliony córki bogacza, ale chciałby widocznie i na niepowodzeniu swojem zrobić interes, skoro procesuje Muraya o odszkodowanie. Tylko pytanie, czy cośkolwiek zyska na tym procesie.

Austro-Amerykana w Tryeście. Wykaz dochodów ruchu i odbytych mil morskich: Przychód do końca września 1911 roku K 22,254.825, zatem o K 985.678 więcej niż w roku 1910. — Ilość odbytych mil morskich do końca września 1911 r. 1,077.015, zatem o 38.898 mniej niż w r. 1910.

Znany w szerokich kołach artystycznych krytyk i pisarz niemiecki Franz von Salzburg napisał obecnie nowe dzieło, które p. t.: »Podróż letnia do Północnej Afryki«, wkrótce wyjdzie nakładem własnym Austro-Amerykany w Tryeście i w Wiedniu.

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożył Wiktor Bułka).

Wszystkim potrzebnam, a nikt mnie nie żąda
Ten, czyja jestem, już mnie nie ogląda.
Ten, co mnie zdziałał, dla siebie nie życzy,
Ten, co mnie kupił, sobie nie dziedziczy.

2. ZAGADKA.

(Ułożył Jan Bednarski).

Dawniej na nim wieszano, dzisiaj jego powiesili
na tych, co się płaszczą:
Dawniej go jak sakrament czcili,
dzisiaj mu bogacze klaszczą.

3. SZARADA.

(Ułożyła Zofia Pawłowska).

Pierwsza zgłoska, to litera,
Z abecadła wprost spoziera,
Druga zaś wspak i wprost wzięta
Popularna, u nas święta.
Trzecia wspak, to nasza rzeka,
Płynie sobie od wiek wieka;
Pierwszą z trzecią wspak mawiali
Dawni ludzie, tem witali.
Całość owoc zachwalany,
Przez bogatych dobrze znany.

4. SZARADA.

(Ułożył Ignacy Byrski).

Pierwsze z pół drugim domki drzewiane,
Drugie z pół trzecim zwierze w lasach chowane.
Od drugiej zgłoski dalej czytane,
To będzie imię niewiasty znane.
Całość to nieraz dosyć trwożąca,
Polom i grodom szkodę nosząca.

5. SZARADA.

(Ułożył S. Stolarzewicz).

Pierwsze tak mawiają, co nieoświeceni,
Wprost drugie i pierwsze, rzeka w polskiej [ziemi.
Wstecz zaś drugie z pierwszem, wojnę świętą [głosi,
A drugie i trzecie ból wielki przynosi.
Chcesz-li więc całości zapoznać osnowę,
Trzeba sobie trochę, nad tem łamać głowę.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 9 grudnia 1911 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z nru 47 *Roli*: 1. Arytmogryf: **Stefan Batory,** 2. Szarada: **Słońce,** 3. Zagadka: **Wapno,** 4. Przestawianka: **Henryk Sienkiewicz pisarz polski,** 5. Szarada: **Wikary,** 6. Szarada: **Buraki.**

Wierszem otrzymaliśmy kilka zupełnie dobrych rozwiązań, z powodu jednak braku miejsca nie możemy ich umieścić. Rozwiązania wierszem nadesłali PP.: Wojciech Cetera z G., Walenty Miśniak z P., Józef Kulka z P., St. Kumięga z T., Józef Kobylański z C., Jakób Paff z Ch., Józefa Kątska z T., Wojciech Żak z P., Ignacy Byrski, W. Moroń z Ł., Fr. Zdeb z Cz., Jan Bylica z P., Jan Wielopolski z J. p.

Oprócz tego dobre rozwiązania nadesłali PP.: A. Żebrok z B., J. Lebuda z B., A. Warchoł z Z., R. Kula z M. K., F. Gruca z O., J. Kucia z R., Z. Oraczewska z Ż., J. Czerniok z W., K. Suchodolski z H., J. Tekieli z T, F. Markiewicz z S., K. Baron z P., J. Waszek z J., J Kieliszek z M. szl. M. Reussowa z K., W. Barcik z R., M. Dudek z Ż., W. Pietrucha z Rz., J. Walatek z R., W. Dubaj z J., P. Wysocka z P. W., F. Teper z M. K., K. Kowalski z K., J. Hirszberg z P., Zieleźniak J. z Cz., A. Bezekówna z K. m., J. Burghardt z S., F. Lech z W., F. Klocek z N. T., J. Boratyńska z R., W. Bułka z M., F. Machej z G. S., W. Trębacz z K., W. Frąc z K., A. Czakon z B., A. Wandzel z S., K. Cieślewicz z W., K. Maj z B., W. Tomaszewski z P., A. Jesionek z Ch., J. Gąsior z S., P., P. Świrad z Cz., W. Wójcicki z N., J. Wanic z S., Władek z Łęgu, J. Bożek z J., A. Byłów z M, J. Czarnik z Rz., A. Nowak z G., Jan Leja »Lejowski« z Cz. D., »Kółko rolnicze« z W., J. Jaskier z H., H. Jakubasz z P., F. Sojka z Z., M. Zięba z O. b., J. Bednarski z W. Ch., A. i M. Synowcówny z Ś. G., J. Czerniok z W., W. Flis z L. G., Z. Pawłowska z Z., J. Brzeziański z K., Kółko rolnicze z B., Kółko rolnicze z S. m., A. Szarek z S. W., S. Stolarzewicz z D., M. Wojciechowska z L. m., W. Szocik z D. M., Jan Szypuła z H. K., J. H. Łukasiewicz z J. M., Piotr Sendyk z P., W. Nowacki z Z., Piotr Gródek z B., Fr. Kellner z P. L., J. Płodzień z Ch., J. Tyrna z J., J. Bobrowski z O., Szendzielarz Ambroży z B., Józef Maziarz z Z., K. Wawrzkiewicz z B., St Stecko z Sz., Fr. Firla z G. S., H. Łukawski z J.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Z chłopskiej niwy*** Edmunda Zechentera wylosował p. **Franciszek Zdeb** z Cz., zaś drugą p. t. ***Racławice*** Walerego Przyborowskiego p. **Jerzy Tyrna** z J.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Prenumerator »Roli«. Kto chce wstąpić jako ochotnik do wojska, musi się zgłosić do komendy pułku, w którym chce służyć i przynieść ze sobą potrzebne papiery, jak: metrykę, poświadczenie przynależności do gminy od wójta, świadectwo moralności z parafii, pozwolenie ojca lub opiekuna, jeżeli nie ma jeszcze 24 lat. — Arkadyusz Szarek w S. W.: Myśl poruszona przez Pana jest dobrą i gdy tylko czas pozwoli artykulik umieścimy. A możeby Pan coś na ten temat napisał? Usterki takie, ze względu na autorów, mimo woli puszczamy płazem. Na listowne odpowiedzi okropnie brak nam czasu. Łączymy pozdrowienia. Takie utwory, jak »Poziomka« są nam bardzo pożądane. — Jan Wielopolski w J.: »Czuły małżonek« gdy miejsce pozwoli, znajdzie miejsce w »Roli«. — Walenty Kuchejda w H: Ażeby osądzić, czy utwór jakiś będzie drukowany, musielibyśmy go najprzód przeczytać, chociaż z góry mówimy, że utwór dramatyczny musiałby być bardzo dobry, abyśmy go mogli drukować. Kalendarz zostawimy i numera będziemy wysyłali, ale aż po otrzymaniu przenumeraty. — Walatek w R.: Maciek za pamięć dziękuje a z wierszyka przy sposobności skorzysta. — Walenty Miśniak w P.: Za tak miłe dla nas słowa pochwały serdecznie dziękujemy. Rozwiązania wierszem, niestety, z powodu braku miejssa nie zostało wydrukowane. — Wojciech Huslak w K.: Wierszyk otrzymaliśmy. Walenty Pasierb w Cz.: Wisrszyki otrzymaliśmy, które powoli będziemy drukowali. Paweł Tarasek w K.: Zagadki dobre umieścimy. Franczyk M. z O: Jeżeli Pan życzy sobie mieć kalendarz, prosimy przysłać 50 hal. — Piotr Lampart ze S.: Najserdeczniej dziękujemy za zachęcanie do czytania i jednanie czytelników. Gdybyśmy wielu tak oddanych i życzliwych mieli prenumeratorów jak Pan, to »Roli« nie brakłoby w żadnym polskim domu. — Jan Sanetra z Z.: Należy się jeszcze 20 hal. — Jan Borowiec z C.: Za 3 numera należy się 30 hal. — Wincenty Lewandowski: Ogłosiliśmy już w »Roli«, że teczki będą gotowe dopiero w grudniu i wtedy będą wysyłane. — Jakób Jurosz z S.: Pan ma numer 1217 a Pan Jan Rabiec 1218, nazwisko poprawimy. Nawzajem pozdrowienie jak najserdeczniejsze. — Teofil Tryczyński w N.: Wierszyki otrzymaliśmy, dobre. — Wojciech Pawlik: Z małemi poprawkami umieścimy. — Adam Jesionek w Ch.: Niestety pisma owego tak długo nie przechowujemy, a wzmianki, o której mowa, nie zauważyliśmy. Niech Pan napisze do Administracyi rzeczonego pisma a numera z października przyślą. — Korczak w R.: Czy ksiądz, czy książe, a choćby i Ksawery wszystko jedno byle prace były dobre i więcej ich. Za wiersz i pamięć dziękujemy. — Jantek z Bugaja: Za wierszyki stokrotne dzięki. Pan Robert wyfrunął już z Krakowa na swoje śmiecie. List odesłaliśmy mu. Pozdrawiamy serdecznie Pana i Jego Panią Magdusię. — Jędrzej Stawowy w U.: Kronika będzie w przyszłym numerze. Za życzliwość dziękujemy. — Kazimierz Piękoś w C.: Utwory otrzymaliśmy — później umieścimy. — Antoni Szostok w W.: Każda księgarnia przyśle Panu cennik takich książek. Niech Pan napisze do księgarni Gebethnera, Kraków, rynek. — Karol Powroźniak w S.: Otrzymaliśmy — dziękujemy.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Potwierdzenia prenumeraty za rok bieżący:
PP.: Władysław Krawiec z S. 1 K. — Wojciech Kawiński z P. 4·50 K. — Paweł Bosowski z B. 2·50 K. — Stanisław Brysk z S. 2 K. — Cypryan Buda z U. 2 K. — Karol Honkisz z M. K. 3·20 K. — Kazim. Zając z G. 2·30 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 28 listop.

Pszenica	Kor.	12·—	do	12·30	za 50 kg.
Żyto	„	10·20	„	10·60	„
Jęczmień	„	9·20	„	9·85	„
Owies	„	8·90	„	9·40	„
Otręby pszenne	„	6·80	„	6·90	„
Otręby żytnie	„	7·10	„	7·15	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 28 listopada:

Buhaje	Kor.	158	do	300	za sztukę
Woły	„	220	„	380	„
Krowy	„	150	„	300	„
Jałówki	„	100	„	300	„
Cielęta	„	25	„	80	„
Owce i kozy	„	24	„	30	„
Świnie bita waga)	„	130	.	146	za 50 kg

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.